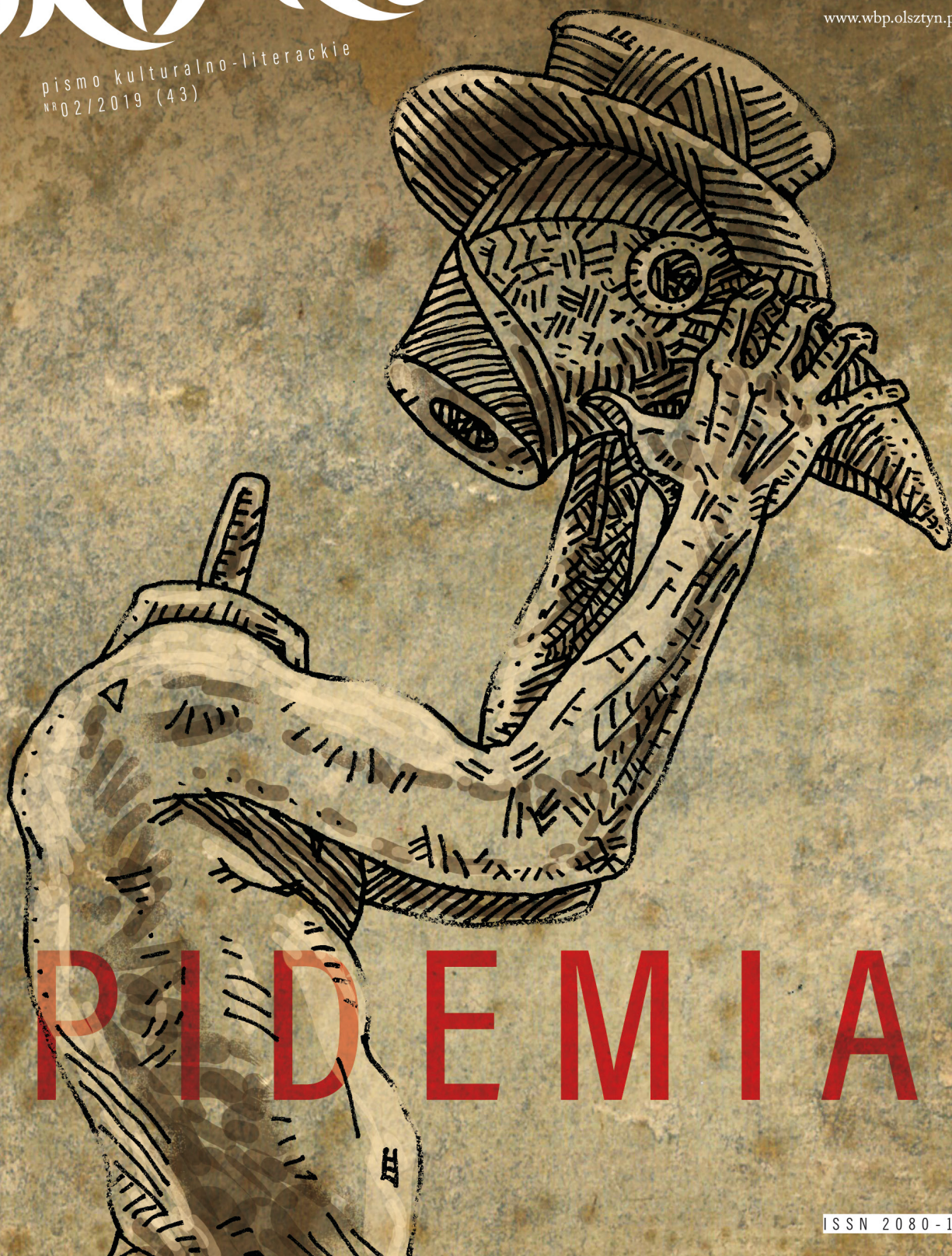


VarArt

pismo kulturalno-literackie
nr 02/2019 (43)



www.wbp.olsztyn.pl



EPIDEMIA



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Globalna epidemia i kryzys cywilizacji

Cywilizacja stworzyła epidemie. Większe zagęszczenie ludzi żyjących w osadach i miastach oraz częstsze i dalekie kontakty wzdłuż szlaków handlowych znacząco ułatwiają roznoszenie się chorobotwórczych patogenów: wirusów, bakterii, pierwotniaków, wielokomórkowych pasożytów. Tak jak uran, który, osiągnąwszy masę krytyczną zbyt blisko znajdujących się atomów, gwałtownie wybuchł. Choroby były od zarania, ale to cywilizacja przyniosła nam epidemie.

Rolnictwo dało nam obfitość pokarmu i życie osiadłe. Ale także systematycznie docierające do nas choroby odzwierzęce. Najbardziej zjadliwe są nowe patogeny. Do Europy epidemie docierały przez stulecia, czasem dziesiątkując osady. Ale się w końcu przystosowaliśmy. Kiedy Europejczycy zawitali w Ameryce, przywieźli tubylcom cały zestaw przez wieki gromadzonych chorób. Wyginęło prawdopodobnie 90% populacji rdzennych mieszkańców. Opuszczone pola porośły las. Nastąpiła duża akumulacja węgla w drewnie, co najprawdopodobniej znacząco przyczyniło się do ochłodzenia klimatu i małej epoki lodowej znanej z historii nowożytnej. Teraz obserwujemy coś przeciwnego, wielkie wylesienia – także i w Amazonii. Można się więc spodziewać przyspieszenia i pogłębienia globalnego ocieplenia.

Za sprawą rolnictwa ludzkość przyczynia się do wylesiania od co najmniej 8 tysięcy lat, co, jak niektórzy autorzy podkreślają, powoduje ocieplenie klimatu, na przekór cyklowi zlodowacenia, który miał nastąpić. Tak więc dotychczasowe zmiany, wywołane przez ludzkość, działały korzystnie i ratowały biosferę przed katastrofą (polecam książkę Petera Warta *Hipoteza Medei. Czy życie na Ziemi zmierza do samounicestwienia?*). Ale w ostatnim stuleciu proces ocieplania zmienia się w przegrzanie z bardzo negatywnymi skutkami dla cywilizacji i ludzkości.

Drapieżcy i pasożyty (w tym choroby i epidemie) działają regulująco na populacje roślin, grzybów i zwierząt. Ostatni zawór bezpieczeństwa planety, by jakiś gatunek nie rozplenił się za bardzo. Jeśli zabraknie drapieżników i chorób, dochodzi do przegęszczenia i wymierania z głodu, i wyczerpania zasobów. Ludzie już dawno wyrwali się spod presji drapieżników. Zostały tylko choroby i epidemie.

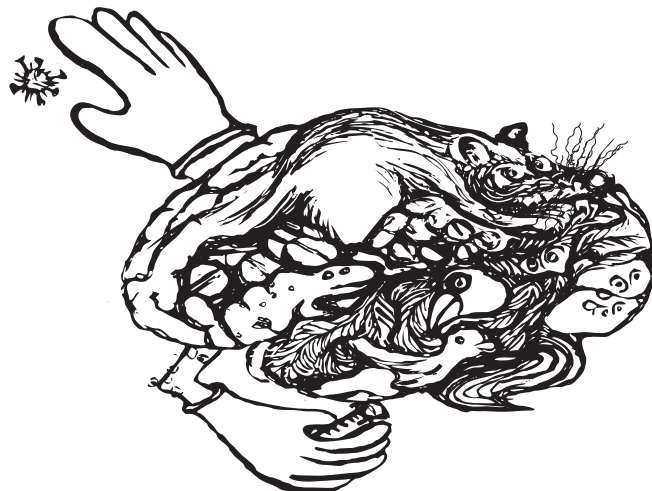
Pasożyty nie tylko eksploatują swojego żywiciela, lecz także mogą zmieniać jego behavior. Zarażone nitnikowcem owady lądowe w nienaturalny sposób wędrują do zbiorników wodnych, by tam pasożyt mógł dokończyć swój cykl życiowy. Entomofagiczne grzyby „każą” mrówce tuż przed śmiercią wspinać się wysoko na źdźbło trawy. By łatwiej grzybowi było rozsiewać zarodniki. Wiele przykładów tego, jak pasożyty przejmują władzę nad swoją ofiarą, stało się kanwą dla teorii egoistycznego genu Dawkinsa. Może mamy w swoim DNA jakieś pasożyty, egoistyczne geny, które każą nam podejmować szkodliwe lub wręcz zabójcze działania, by realizować cele i sukces pasożyta (egoistycznych genów)?

Przeglądając się nierozsądnym i szkodliwym działaniom ludzi, powodujących globalne ocieplenie Ziemi i związaną z tym katastrofę ludzkości, można się zastanawiać, czy ta swoista

epidemia nie jest regulacyjnym działaniem Gai (globalnego superorganizmu)? Czy mózgi wielu osób zostały skażone głupotą, przyspieszającą globalną katastrofę klimatyczną? Logicznie rzecz ujmując, mamy wiedzę i narzędzia, by zapobiec katastrofie. Dlaczego tego nie czynimy, dlaczego obserwujemy sprzeczne z naszym cywilizacyjnym interesem szaleńcze i samobójcze działania? Jakby w naszej cywilizacji siedział pasożyt, zmieniający nasze zachowanie, rozsiewał populizm i klimatyczny denializm? Na naszą zgubę, a w interesie tego niezidentyfikowanego pasożyta czy superorganizmu? Niektórzy ekozofowie piszą, że człowiek jest chorobotwórczym „wirusem” planety... i być może właśnie włączyły się mechanizmy obronne. Denializm możemy traktować jako autoimmunoagresję, samozniszczenie. W biologii znane jest zjawisko apoptozy – zaprogramowanej śmierci komórek. Umożliwia to rozwój organizmu i wykształcanie się narządów (znikają niepotrzebne komórki). Gdyby więc spojrzeć szerzej i bardziej filozoficznie, to może ludzkość jest jedynie etapem w rozwoju świadomości i superorganizmu, umownie nazywanego Gają? Jesteśmy etapem koniecznym, ale... mijającym.

W historii upadło już wiele cywilizacji, na gruzach których wyrosły kolejne. W biosferze także było wiele katastrof, po których rozkwitały kolejne grupy coraz doskonalszych organizmów. Do tej pory uważaliśmy *Homo sapiens* za szczyt ewolucji lub koronę Stworzenia. Ale to być może mija... za sprawą rozwijającej się sztucznej inteligencji. Jak przekonuje Max Tegmark w książce pt. *Życie 3.0. Człowiek w erze sztucznej inteligencji*, świadomość i kultura mogą rozwijać się niezależnie od nośnika, np. w cyfrowych obwodach sztucznej inteligencji. Być może żyjemy w przełomowych czasach i jesteśmy ogniwem przejściowym... A wywołana przez ludzkość katastrofa, swoista superepidemia, jest metamorfozą Gai.

Jeśli się nie opamiętamy, nasza cywilizacja zginie. Zostanie ileś tam milionów ludzi, ale jako cywilizacja zginie. Pozostanie sztuczna inteligencja i nowa forma świadomości, kultury. Już bez człowieka w roli głównej. Ewolucja wszechświata, organizacji i świadomości...



02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Globalna epidemia i kryzys cywilizacji

03 WYWIAD

Z Prof. TADEUSZEM NIEDŹWIEDZIEM rozmawia KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI:

Ważna jest muzyka, talent i praca

08 POEZJA

WOJCIECH HIERONYMUS BORKOWSKI: Wiersze

10 POEZJA

BORYS SŁUCKI: Trzydziestaki

11 PROZA

MARCEL KRUEGER: Krzesło Olgi Tokarczuk

12 DRAMAT

MARIUSZ GÓRALSKI: Nieśmiertelni Władcy Czasu

15 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA:

ANNA DROŃSKA: Ekologia i sztuka

16 GALERIA

ANNA DROŃSKA

18 HISTORIA PEWNEGO DOMU

EWA K.: Miasto, gdzie jest zamek

20 INICJATYWA

MARCIN ZALEWSKI: Wybudowania, czyli działnia krajoznawcze na ziemi lubawskiej

22 HISTORIA

ANNA RAU: Mór nadchodzi! Schrońmy się w kaplicy

24 RECENZJA

EWA AFTEWICZ: Mądrzej jest się bać

25 HISTORIA

JOWITA JAGLA: Średniowieczny Szpital św. Ducha we Fromborku

26 HISTORIA

JERZY ŁAPO: Archeolog na tropach znachora

28 FELIETON

KATARZYNA KACZMAREK: O przykładowych sposobach uzdrawiania

29 PROZA

ANNA RAU: Mural przy ul. Linki w Olsztynie

30 REGION

WALDEMAR TYCHEK: Stań przy magnolii i spójrz na różanecznik

31 FELIETON

KATARZYNA GUZEWICZ: Czy czeka nas zagłada?

Krzyże, kapliczki często stawiane były na naszych terenach w podzięce za wyleczenie lub w nadziei na uchronienie przed szalejącą wokół epidemią. Czy ustrzeżemy się przed wszystkimi plagami i niebezpieczeństwami, które sami sobie stwarzamy? Czy coś z tych zagrożeń może wyjść nam na dobre?

Nie są to łatwe ani najprzyjemniejsze pytania. W „VariArcie”, którego aktualnym hasłem jest epidemia, rozpatrujemy różne zagadnienia związane z niebezpieczeństwami współczesnej cywilizacji. Czy w sztuce, kulturze mówi się o nich?

Zaczynamy tradycyjnie Kijem w mrowisku Stanisława Czachorowskiego, który zastanawia się, co po Nas. W prezentowanej literaturze szczury (u Anny Rau), nieśmiertelny władca czasu (w tekście Mariusza Góralskiego), krzesło Olgi Tokarczuk (w opowieści Marcela Kruegera). W Galerii „VariArta” zaś zaangażowana ekologicznie twórczość Anny Drońskiej. O epidemiach w historii regionu i o budownictwie związanym z nimi wspominają Anna Rau i Jowita Jagła. O różnych sposobach na uzdrowienie (czy skutecznych) przeczytamy u Katarzyny Kaczmarek i Jerzego Łapo.

Nie dajmy się zarazom i innym przypadkom.

Stańmy na tonie natury, póki ją mamy (poleca Waldemar Tychek).

I zastanówmy się, co dalej.

Życzy

Redakcja

VariArt



VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483

Nr 02/2019 (43)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.wixsite.com/olsztyntart; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Karolina Lewandowska, Urszula Maciąg,

Anna Rau, Anita Romulewicz, Krzysztof D. Szatrawski

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Okładka przód: Przemek Kozak, skład: Karolina Lewandowska,

okładka tył: Katarzyna Łyszkowska.

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współudziale finansowym

Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Z PROF. TADEUSZEM NIEDŹWIEDZIEM rozmawia KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

Ważna jest muzyka, talent i praca

Pochodzi Pan z Lublina, tam się Pan urodził.

Niezupełnie, urodziłem się w niewielkim miasteczku pod Lublinem. A konkretnie w Bychawie, moim rodzinnym mieście, które znajduje się 30 kilometrów od Lublina. Wychowałem się więc raczej pod Lublinem, ale to fakt, że moja muzyczna kariera zaczęła się w Lublinie, od Liceum Muzycznego. Ponieważ nie miałem żadnego wcześniejszego wykształcenia muzycznego, zdawałem egzamin „z marszu”. I zostałem przyjęty do klasy klarnetu prof. Tadeusza Mincha. Z wielkim sentymentem wspominam szkołę muzyczną w Lublinie, gdzie miałem szczęście uczyć się u znakomitych pedagogów jak folklorysta lubelski Aleksander Bryk, kompozytor Włodzimierz Dębski – uczył harmonii, Adam Natanek – orkiestra, a także śledzić karierę muzyczną lubelskiej szkoły, do której uczęszczali młodzi koledzy, m.in. Krzesimir Dębski, Jacek Kaspszyk i Piotr Wajrak, późniejszy dyrygent olsztyńskiej orkiestry.

Nauka trwała pięć lat, po czym nadszedł czas, by zdecydować, gdzie uczyć się dalej. W tym czasie większość absolwentów kierowała się na studia do Warszawy. Mój kolega, Sławomir Kula, z którym przyjaźnię się do dziś, wybrał Kraków, a ja postanowiłem, że będę studiował w Poznaniu. Rozpocząłem studia w klasie prof. Wilhelma Michalaka – profesora, którego nie tylko ja wspominam z ogromną wdzięcznością. Był znakomitym pedagogiem i wartościowym człowiekiem, ale też potrafił utemperować młodych klarnecistów, wskazać im najważniejsze rzeczy, które są w życiu istotne. Uczył nas gry na klarnecie, ale nie po prostu grać... uczył nas śpiewać na klarnecie. Podczas zajęć klarnetu każda fraza była wielokrotnie przez niego zaśpiewana. Był pierwszym klarnecistą Opery Poznańskiej, następcą i przyjacielem słynnego profesora Józefa Madei.

A profesor Józef Madeja był założycielem Katedry Instrumentów Dętych i jednym z najważniejszych twórców polskiej szkoły klarnetowej...

O tak, to był ogromny autorytet. A był nie tylko autorem *Technicznej szkoły na klarnet*, lecz także *Szkoły na obój*. Wszechstronnie wykształcony, przewodził całej poznańskiej grupie dętej. Kiedy grał w orkiestrze Opery Poznańskiej, wchodził do kanału orkiestry jako ostatni. I chociaż wszyscy byli już nastroszeni od oboju, podawał swoje „a” i wszyscy stroili się jeszcze raz. Jako ciekawostkę mogę dodać informację, że jego osobiste klarnety, zrobione specjalnie na jego zamówienie przez Arthura Uebela i skonstruowane w systemie niemieckim, po jego śmierci trafiły do Olsztyna. Nabył je od żony profesora mój kolega Piotr Kowalczyk, kupił je za relatywnie niewielkie pieniądze, mimo że były to bardzo dobre instrumenty, gdyż już w latach siedemdziesiątych nastąpiło definitywne pożegnanie z systemem niemieckim i zwycięstwo systemu francuskiego. Piotruś pozostał przy tych instrumentach.

Można powiedzieć, że olsztyńska szkoła klarnetowa jest kontynuacją tradycji szkoły poznańskiej.

Zdecydowanie tak! Jako pierwszy z Poznania przyjechał Stanisław Warszycki, który był właśnie absolwentem profesora Madei. Jako drugi klarnecista przyszedłem właśnie ja z klasy profesora Michalaka i jako trzeci, rok po mnie, do Olsztyna przeprowadził się Piotruś Kowalczyk.

A co sprawiło, że z Poznania trafił Pan właśnie do Olsztyna?

Przede wszystkim w Olsztynie w końcu lat sześćdziesiątych odbywały się znakomite międzynarodowe obozy muzyczne Jeunesses Musicales. I właśnie latem 1969 roku, jeszcze jako student, a ściślej jako reprezentant uczelni poznańskiej, znalazłem się na tym obozie. Poza samą grą na instrumencie, pracą w różnych zespołach i udziałem w zajęciach, zdążyliśmy też trochę zwiedzić. Pamiętam tournée po wielkich jeziorach, gdzie pływaliśmy. Utrwalił mi się w pamięci obraz pierwszego kontaktu z Olsztynem, kiedy po raz pierwszy wyszliśmy na starówkę. Mieszkaliśmy w internacie szkoły muzycznej.

Nowo wybudowanym...

Tak, internat już był, chociaż szkoły jeszcze nie było...

Szkoła wciąż jeszcze mieściła się w starym budynku na Nowowiejskiego...

Z tego pierwszego spaceru zapamiętałem dwa miejsca. Pierwszym był sklep muzyczny, który mieścił się dokładnie w tym samym miejscu co obecnie, a przecież działa się to pięćdziesiąt lat temu! A w pobliżu tego sklepu była jeszcze znakomicie zaopatrzona księgarnia, później zlikwidowana. Kupiłem wówczas słownik polsko-francuski. Wspominam to pierwsze wrażenie, bo było ono bardzo pozytywne.

Zatem taki obraz Olsztyna wywarł na Panu silne wrażenie?

Po pierwsze starówka olsztyńska przypominała mi swoim klimatem Stare Miasto w Lublinie i okolice rynku w Poznaniu. I chociaż w porównaniu z tymi wielkimi miastami olsztyńska starówka jest znacznie mniejsza, pamiętam, że zrobiła na mnie bardzo sympatyczne wrażenie. Pamiętam również trolejbusy, które wówczas jeszcze jeździły w Olsztynie.

Jan Boehm wspominał, że wybrał Olsztyn ze względu na możliwość uprawiania turystyki wodnej. Nawet biorąc pod uwagę atrakcyjne położenie miasta, wydaje się jednak, że to możliwość rozwoju zawodowego jest w takich sytuacjach decydującą przestanką...

I tak też oczywiście było. W tamtych czasach, podobnie jak dzisiaj, w większości chyba przypadków podstawą decyzji o miejscu zamieszkania po studiach była możliwość pracy w wybranym zawodzie. Nie było to jednak takie proste. Kiedy kończyłem studia w Poznaniu, w 1971 roku obowiązywała ustawa, w myśl której wszyscy artyści, w tym muzycy grający na instrumentach dętych, podlegali obowiązkowi pracy do 65. roku życia. A to oznaczało permanentny brak nowych miejsc pracy w orkiestrach. Jako instrumentalista wysłałem swoje oferty do 12 filharmonii i otrzymałem 12 odpowiedzi negatywnych.

Mimo osobistych osiągnięć w konkursach? Bo przecież był pan laureatem kilku poważnych konkursów.

Będąc na IV roku studiów, uzyskałem drugą nagrodę na Ogólnopolskim Konkursie Klarncistów we Włoszakowicach, gdzie urodził się Karol Kurpiński. Konkursy te odbywają się także obecnie, tyle że dziś obejmują różne kategorie instrumentów dętych, a w owym czasie dotyczyły wyłącznie klarncistów. Startowało nas 18 studentów z wyższych szkół muzycznych w trzech etapach – w pierwszym klarinet z towarzyszeniem fortepianu, w drugim kwintet klarinetowy i w trzecim koncert z orkiestrą. Pierwsze miejsce zdobyła Hanna Wołczewska, późniejsza wieloletnia pierwsza klarncistka Filharmonii Narodowej. Przyjaźniliśmy się przez wiele lat. Tu przypomina mi się zabawna sytuacja. Pierwszą nagrodą był kupon materiału na garnitur, a drugą radioodbiornik Śnieżka. Przewodniczący jury, profesor Ludwik Kurkiewicz, mówi do mnie: „Niedźwiedz, ty jesteś przed ślubem? To my ci damy kupon materiału i będziesz miał na ślubny garnitur, a Hance damy radio, bo ona nie chce czarnej sukni”. Wystąpiliśmy w koncercie laureatów, ona grała koncert Kurpińskiego, a ja koncert Mozarta.

I mimo to nie było miejsc? Czy Olsztyn także odmówił?

Olsztyn nie do końca odmówił. W Olsztynie było miejsce, lecz historię zatrudnienia należy poprzedzić drobnym wyjaśnieniem. Ponieważ w 1971 r. uczelnię poznańską w klasie klarinetu kończyło czterech klarncistów, profesor Michalak starał się w jakiś sposób wskazać dalszą drogę swoim absolwentom i zasugerował, aby nie koncentrować się na szukaniu pracy w Poznaniu i ruszyć w Polskę. Ale było nas czterech klarncistów z jednej klasy. Umówiliśmy się w ten sposób, że ofertę do Olsztyna dostał mój kolega, mi profesor zaproponował posadę w szkole muzycznej w Szczecinku, jeden z kolegów wrócił do Bydgoszczy do orkiestry, a jeden wybrał operetkę poznańską. Tymczasem kolega, który zagrał przesłuchanie w Olsztynie, nie miał długo żadnej informacji i poprosił mnie, żebym zadzwonił w jego imieniu. Informacji nie uzyskałem, ale zaproszono mnie, bym przyjechał na przesłuchanie,

usłyszałem dostownie: „pojutrze o godz. 10.00 będzie pianistka, więc będzie mogła panu zaakompaniować”. Były wakacje, moja żona pracowała w Poznaniu w szpitalu, a ja mieszkalem w tym czasie u jej rodziców w Koninie. W wyznaczonym dniu, o godzinie 4 rano wyruszyliśmy z bratem mojej żony motocyklem Java 175. Dojechaliśmy do Ostródy i złapaliśmy gumę. Mieliśmy zapas, więc wymieniliśmy gumę, ruszyliśmy dalej, a w okolicach Ildzbarka złapaliśmy drugą gumę. Drugiego zapasu nie mieliśmy, telefonu też nie. Trzeba było wrócić do Ostródy, znaleźć sklep, kupić dętkę... W rezultacie dotarliśmy do Olsztyna na godzinę 18.00.

Domyślałem się, że przesłuchanie jednak się odbyło.

Z duszą na ramieniu poszedłem następnego dnia do orkiestry, która miała wówczas siedzibę na Jagiellońskiej 47 i spotkałem tam dyrektora Janusza Przybylskiego. Przedstawiłem się, a on spojrzał na moje ręce i pyta, co się stało. Po tych przygodach z motocyklem nie mogłem dostownie domyc rąk, więc nie musiałem wiele wyjaśniać. Zagrałem koncert Webera. Zaproponowałem też Scherzo Getmana – Przybylski akompaniował, ale siedem bemoli i zabójcze tempo zrobiły swoje. W rezultacie skończyłem przesłuchanie sam. I znowu nie było odpowiedzi. Kończyły się wakacje i trzeba było już decydować o dalszych planach. Zadzwoniłem ponownie i odebrała pani Janina Łomanowska, księgowa. I ona powiedziała mi, że słyszała, że było przesłuchanie młodego klarncisty, ale nie ma w orkiestrze wolnego miejsca, „może jednak coś się wyjaśni, bo pan Ryszard Gusnar zamierza wrócić do Katowic, a wówczas byłaby możliwość, że pana byśmy przyjęli na jego miejsce”. W orkiestrze były tylko trzy miejsca – pan Stanisław Warszycki – pierwszy klarinet, pan Ryszard Gusnar – pierwszy, drugi klarinet i pani Mirosława Nowak-Dobrychłop na drugim, trzecim klarncie. Nie było czterech klarncistów, tylko trzy. Pani Łomanowska w rozmowie telefonicznej zdecydowała, że powinienem przyjechać.

Udało się Panu zjawić w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu.

Tak, i tak zostałem, trochę na doczepkę. Taki był początek mojego życia w Olsztynie. Ale już w październiku była decyzja, że Ryszard Gusnar odchodzi. Wynająłem mieszkanie na Zielonej Górze przy ulicy Porzeczkowej 4, później wielokrotnie się przeprowadzałem. Problem mieszkaniowy jeszcze długo pozostał problemem.

To był moment, kiedy orkiestra ciężko pracowała nad własnym rozwojem.

Pracy było dużo, w tamtym czasie orkiestra grała już osiem koncertów miesięcznie. Programów było mniej, z reguły prezentowano je raz w tygodniu. W poniedziałki orkiestra występowała w teatrze, a pozostałe koncerty to były powtórki w różnych

miastach regionu. Mieliśmy własny autobus i dzięki temu mogliśmy z łatwością się przemieszczać. W tym miejscu chciałbym powrócić do wątków zagranicznych.

Oczywiście, przecież nigdy nie ograniczał się Pan do pracy w orkiestrze.

W momencie kiedy kończyłem studia, w nagrodę za osiągnięcia w konkursach i bardzo dobry wynik na dyplomie, rektor Stefan Stuligrosz zgłosił moją kandydaturę na studia we Francji. Stałem do konkursu stypendialnego w Warszawie. Niestety nie udało mi się zdobyć stypendium. Osobą, która wygrała, był flecista Antoni Wierbiński. Los chciał, że kiedy po latach nadawano mi tytuł profesorski, to on był ekspertem. I okazało się, że mnie pamiętał z tego egzaminu. Natomiast ja otrzymałem propozycję wyjazdu na staż do Czechosłowacji. Trzymiesięczny program obejmował półtoramiesięczne staże u prof. Opata w Brnie i u prof. Milana Etlika w Pradze. Bardzo dobrze wspominam to doświadczenie. Miałem tam dobre warunki. Moje stypendium było wyższe niż pensja na uczelni. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że bardzo wiele zawdzięczam temu stażowi.

Pamiętam z czasów studenckich, że również w repertuarze studentów Pana klasy były ciekawe utwory współczesnych kompozytorów czeskich.

Tak, to były naturalne wybory. Do dziś mam ogromną satysfakcję ze znajomości czeskiego repertuaru, na przykład *Monologów* Jiříego Pauera, cyklu na klarnet solo napisanego dla prof. Etlika. Każda z siedmiu części tego cyklu opowiada o kolejnym dniu tygodnia. Wykonałem ten cykl jako część programu w ramach przewodu habilitacyjnego.

Myślę, że jest to symboliczne – pierwszy staż zagraniczny i związany z nim konsekwentny rozwój już w Polsce. Lata siedemdziesiąte były chyba okresem wzrostu ambicji olsztyńskich muzyków.

Dyrektor artystyczny i dyrygent orkiestry Janusz Przybylski oraz dyrektor naczelny Ryszard Poprawski stanowili zespół, który miał nie tylko ambicje, ale też wiedzę, w jaki sposób osiągać cele. Z jednej strony artysta i dyrygent, z drugiej wywodzący się z Wydziału Kultury organizator, który wiedział, w jaki sposób pozyskać środki na rozwój i umiał podejmować decyzje. Orkiestra miała w tym czasie jeszcze wiele problemów. Znaczna część zespołu to byli muzycy, którzy mieli rok, dwa do emerytury. Cieszyli się z każdego młodego muzyka, bo wreszcie ktoś mógł ich zastąpić. Warto też pamiętać, że w 1971 roku wśród muzyków orkiestry było tylko sześciu muzyków po studiach instrumentalnych. Większość stanowili muzycy po szkołach średnich, w tym wielu po szkołach zaocznych, którzy zakładali orkiestrę.

Zatem nie był to łatwy start. Z tym większym szacunkiem należy mówić o efektach.

Już od 1972 sytuacja zaczęła się poprawiać. Co roku zatrudniano młodych muzyków i to zadecydowało o późniejszym rozwoju orkiestry. Hamulcem był brak własnej siedziby. Warunki pracy na początku były bardzo ciężkie, dopiero kiedy orkiestra

weszła do sali koncertowej Szkoły Muzycznej, można było mówić o rozwoju zespołu. Rzeczywiście, w teatrze grało się bardzo ciężko. Po przeprowadzce orkiestry na ul. Kościuszki poprawiły się również sprawy mieszkaniowe – lokal zajmowany przez orkiestrę został zaadaptowany na hotel muzyków.

Poza grą w orkiestrze był Pan aktywnym kameralistą. W tamtym czasie koncerty kameralne w Olsztynie były ważną częścią kultury miasta.

To się zaczęło jeszcze w czasie studiów. Wspólnie z koleżankami tworzyliśmy kwintet klarnetowy, czyli kwartet smyczkowy plus klarnet. Graliśmy głównie repertuar konkursowy, w tym Kwintet klarnetowy Jerzego Młodziejowskiego. Kiedyś udało nam się zabłysnąć na festiwalu w Krakowie kwintetami klarnetowymi Mozarta i Webera. Natomiast w Olsztynie powtórzyliśmy ten sam schemat. Występowałem w kwintecie klarnetowym z Andrzejem Hanzelewiczem, Andrzejem Słabolepszym na skrzypcach, Zdzisławem Wylonkiem na altówce i Józefem Bartkowskim na wiolonczeli.

Andrzej Hanzelewicz prowadził też orkiestrę kameralną filharmonii olsztyńskiej.

O tak, był to bardzo ambitny muzyk. Wywodził się ze szkoły łódzkiej. Później podpisał kontrakt i wyjechał do Włoch. Andrzej Hanzelewicz po wyjeździe wracał jeszcze dwukrotnie do Olsztyna, ale były to już tylko krótkie wizyty. Zajmował się również kompozycją.

Koncertował Pan także jako solista.

Jako solista miałem okazję wykonać kilka koncertów z olsztyńską orkiestrą, którą prowadzili znakomici dyrygenci: Krzysztof Missona, Tadeusz Babiński, Roman Urbanek, Grzegorz Sutt, Bogdan Jarmotowicz, Jerzy Kosek.

Panie Profesorze, ważną część życia muzyka stanowi działalność pedagogiczna. Zanim zaczął Pan pracę na uczelni, pracował Pan w szkole muzycznej?

Tak, oczywiście. I tak się złożyło, że pierwszą szkołą, w której uczyłem, była Szkoła Muzyczna w Szczytnie. Przez trzy lata dojeżdżałem pociągami, autobusem i nie była to łatwa praca. Ale było to ważnym doświadczeniem. Dyrektorem był pan Tomasz Wawrzynkiewicz, który trzymał „żelazną” dyscyplinę. Jedną z moich uczennic ze Szczytna jest pani Dorota Objalska. Dojeżdżał tam również Tadeusz Korpala i pani Janina Dworecka. W Szczytnie miałem też propozycję prowadzenia orkiestry dętej Szkoły Milicyjnej. Po dwóch latach pani dyrektor Iza Garglinowicz zaproponowała mi pracę na Wydziale Zaocznym Szkoły Muzycznej w Olsztynie, a w następnym roku otrzymałem propozycję pracy w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Do WSP przyszła nas cała grupa, między innymi Lucjan Marzewski, Zenona Rondańska i Zdzisław Tomaszewski. Kierownikiem Zakładu Muzyki był dr Zenon Warczyński. Od roku 1973/74 zacząłem pracę na uczelni na 1/2 etatu.

Mam wielką satysfakcję, że poznałem osobiście pana Mirosława Dąbrowskiego,

założyciela olsztyńskiej szkoły muzycznej i orkiestry. Nawet udało mi się z nim wspólnie występować w Klubie Książki i Prasy EMPIK przy ulicy 1 Maja.

Czy może w cyklu „Muzycy swojemu miastu”?

Tak! To był właśnie ten cykl, który organizowałem wspólnie z Janem Boehmem. To właśnie Jan Boehm wymyślił tytuł „Muzycy swojemu miastu” i było to poważne przedsięwzięcie. Dzięki dyrektor klubu, dr Teresie Malec, były plakaty, drukowane programy ze zdjęciami, prelekcje. Był to taki dobry okres, kiedy młody ludzie mieli szansę się wykazać. Bardzo dobrze wspominam też koncerty szkolne. Zresztą ważnym doświadczeniem była również czteroletnia kadencja na stanowisku szefa biura koncertowego filharmonii olsztyńskiej. To były lata 1985-1989. Pierwszy rok zaprogramował Zdzisław Wylonek i on nadał ambitny kierunek, który musieliśmy kontynuować. Jednym

z moich osiągnięć organizacyjnych było nakłonienie do udziału w koncertach dla młodzieży Konstantego Andrzeja Kulki i w roli prelegenta Jana Webera. Udało się to dzięki programowaniu z dużym wyprzedzeniem. Teraz profil tych audycji się zmienia.

Jak cała kultura muzyczna...

Wychowani na klasyce, propagowaliśmy klasyczne brzmienie. Jako młody nauczyciel brałem udział w koncertach dyplomantów. Dzisiaj wygląda to zupełnie inaczej. Myśmy tworzyli małe orkiestry symfoniczne, dziś tworzy się zespoły muzyki popularnej lub jazzowe. Pamiętam, instrumentacje były pisane przez Lucjana Marzewskiego, my ze Zdzisławem Tomaszewskim występowaliśmy z zespołem studentów. Jedno się tylko nie zmieniło, zarówno wówczas, jak i dziś, ważne są muzyka, talent i praca.

Dziękuję za rozmowę.



Fot. z archiwum Prof. T. Niedzwiedzia

WOJCIECH HIERONYMUS BORKOWSKI

Wiersze

WOJCIECH HIERONYMUS BORKOWSKI, urodzony w 1963 roku w Hławie, praktycznie całe życie mieszka pod jednym adresem w Olsztynie na Zatorzu. Wydał dwa arkusze poetyckie: *Kręci się we mnie* (1986) i *Człowiek w szatni* (1994) oraz książkę poetycką *List z detencji* (2018, Wyd. Convivo). Debiut poetycki na łamach „Gazety Olsztyńskiej” w kwietniu 1983 roku. Od tej pory publikował w wielu periodykach, takich jak: *Akant*, *Borussia*, *BregArt*, *Dziennik Pojezierza*, *Dziennik Północy*, *Filantrop Naszych Czasów*, *Magazyn Literacki*, *Metafora*, *Papierówka*, *Pobocza*, *Poezja Dziś*, *Portret*, *Twórczość Robotników*, *Undergrunt*, *Warmia i Mazury*, *Własnym głosem* oraz na stronach internetowych. Odznaczony odznakami Zasłużony Działacz Kultury i Wawrzyn Czytelników Literackiej Nagrody Warmii i Mazur 2018.

LIST DO WEGANEK

*Każdy człowiek jest dobry do momentu,
kiedy zechce udowodnić, że to nieprawda.*

Maksim Gorki (Максим Горький),

właśc. Aleksiej Maksimowicz Pieszkow (Алексей Максимович Пешков)

Kochane weganki
nie patrzcie nazbyt pokaźnym wzrokiem
na mężczyznę
który pyta o wolny wieczór
w którym mógłby kisić ogóra

zrozumcie
tak zwani faceci też mają
podwójne części ścierwa

Kochane weganki
poczekajcie chwilę
nie depczcie moich papierosów golenki i seksizmu
nie zgrzytajcie niedoprawionymi stringami

zrozumcie
jest nas dużo będzie jeszcze
więcej ustąpcie więc zabierzcie na chwilę
swoje solaria joggingi i polityczną poprawność

Kochane weganki
nie rzucajcie w oczy kwasem swojej anoreksji
nie przerażajcie szmatławymi topami i zakompleksiałym piercingiem

Nie nawijajcie odwrócone dupskiem:
ja ja ja i ci wszyscy inni!
mój biust mój fryzur
mój make up moje balerinki
moja figura moje bachory
moje podniecenie

Kochane weganki
nie zjadajmy się Dobrze
bo nie zmartwychwstaniemy
Nawet za pieniądze

1 *Ja, ja, ja i ci wszyscy inni (Io, io, io... e gli altri)* – tytuł filmu z 1966 roku w reżyserii Alessandra Blasettiego, według scenariusza: Carla Romano, Alessandra Blasettiego, Age & Scarpelli, Susa Cecchi D'Amico, Adriano Baracco, Leonarda Benvenuti, Piera De Bernardi, Ennio Flaiano, Giorgia Rossi, Lianelli Carelli, Libera Solaroli i Vincenza Talarico, z muzyką Carla Rustichelli.

SZEŚĆ LAT

mam sześć lat
są lata sześćdziesiąte dwudziestego wieku
do tego jest późne lato jest Olsztyn a ja niedługo pójdę do szkoły
teraz jadę z matką tramwajem przez Stare Miasto ulicą Marchlewskiego
gdzieś nad Jezioro Długie do pijarowego pediatry doktora Józefa Rasteńskiego
tymczasem tramwaj oznaczony jest numerem jeden a moje ego toczy charyzma nudy

przez mozaikę zakurzonej szyby dostrzegam podparte drewnianymi belkami
czarne od zła wszelkiego spalone domy z otwartymi nozdrzami uwędzonego czasu

pytam matkę co tu się stało kto to zrobił
odpowiada mi że Niemcy
wiem Szwaby są niedobre i śmierdzą im nogi
a każdy Fryc chce pracować w Oświęcimiu i wrzucać Polaków do rozpalonego pieca
jeszcze pytam kto tu mieszkał
matka nie zna nazwisk mówi że na pewno Niemcy a może też Żydzi albo Warmiacy
więc czegoś tu nie rozumiem
swoje domy pojeby paliły
bardzo jak to że trzeba jeść wątróbkę lub pić tran

gdy tramwaj z oporami wspina się ulicą Grunwaldzką
nie chcę widzieć Zakładu Pogrzebowego Wincentego Garty
dumam jak zostać żołnierzem i zabijać Szkopów

dziesięć lat później odkrywam równoległą do Marchlewskiego ulicę Piastowską
a na starcie dwudziestego pierwszego wieku stojący tam od chyba zawsze Spichlerz

25 stycznia 2017 roku w Spichlerzu
około 150 metrów od zaoranej czterdzieści lat wcześniej spalonych
czytam podczas Prezentacji Olsztyńskiego Klubu Literackiego
swoją wiersz *Jérôme d'Ermland podczas przejażdżki konnej 27 VI 1791 roku...*
po czym dostaję zaburzeń mózdkowych i nie mogę złapać pionu –
ja natürlich historia jest ćpunem spod sklepu z dopalaczami
razem ze swoją kwadraturą koła i okami z rosółu gotowanego na mydle
co jest najważniejsze w każdym życiu pomnożonego przez trzy szóstki człowieka
z puszką złomu w butonierce

GŁOS WOLNY WOLNOŚĆ UBESPIECZAJĄCY

*Wolność współcześnie jest przedmiotem umowy,
nawet jeśli się jej nie podpisało.*

Michał Biedziuk, 18 XI 2017

żeby zjeść te kilka kanapek i pączków
człowiek musi się ciągle podpisywać
by bez sprawdzenia błogosławić środki i cele
czy też obleśnym uśmiechem na dłoni
zmywać niepotrzebne myśli Syzyfa Technokraty

i na tym polega druzgocące fatszerstwo
które przestaje być przytłaczającą prawdą

zły herold nigdy nie zjawił się u mnie
ze stosownymi papierami
za co jestem mu po ludzku
diabelnie wdzięczny

bywało że samookaleczałem się
umową o pracę w Szkole Podstawowej nr 1 w Olsztynie
o prowadzenie konta w banku
o abonament telefoniczny o podłączenie kablówki
oraz zgodą na leczenie w olsztyńskim Szpitalu Pulmonologicznym –
więcej grzechów nie pamiętam
ponieważ sznyty goiły się dość szybko

zadając sobie pokutę
nie zgodziłem się
ani na bronchoskopię ani na gastrokopię
ani na ratalny zakup garów firmy Zepter International

teraz czuję się tragicznie wolny
moralnie podejrzany z pewną domieszką wściekokwiku
i obżarty po kokardę frytkami z ostrym ketchupem i solą himalajską

BORYS SŁUCKI*

Trzydziestaki przełożył KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

Cała armia Andersa —
z rodzinami,
z dziećmi i z żonami,
wątpliwościami i obawami,
niczym batem poganiana,
w Krasnowodsku się ładowała
na statki pordezwiąta,
i tak przeprowadzka trwała,
smutna, jak życie całe.

Płynęły ludzkie potoki,
by los dzielić nielekki.
Szli potomkowie epoki
królów elekcyjnych, dzieci
szlachciców, którzy w sejmie
nie szli na kompromisy,
i ci, którzy żyją biednie
i z jednej jedzą misy.

Widać nie chcieli już nigdy
oglądać kraju naszego,
i piękne Polki wiodły
za sobą dzieci gęsiego.
Te Polki olśniewające
jeszcze wczoraj w pocie czoła
w pralni ciężko pracujące
i jako kucharki w przedszkolach.

I wciąż szybciej, szybciej, szybciej!
Jak pianę, niosta rzeka
żydowskiego golibrode,
burżuja i kułaka,
a syreny okrętowe
wzywały, aby w tej chwili
ostatni już
pasażerowie
szybciej na trap wchodzili.

Znad miski wystudzonej kaszy,
z ciężkim sercem, ten exodus
w milczeniu oglądali nasi
wyjazd obcego narodu
i było im Polaków szkoda,
a zwłaszcza dzieci było żal,
choć taka losu już uroda,
nieszczęścia każdy trochę znał.

Do dziś mi stoi przed oczami
widziany wówczas obraz,
wspinają się schodami
chudzi oficerowie,
wyciągają z kieszeni
trzydziestaki i zaraz rwą,
a różowe
za rufami
strzępy banknotów
płyną, płyną.

Nikt nie rzekł więcej do tej pory,
choć miałyby coś do dodania
wszystkie trzy Polski rozbiory
i dwa polskie powstania,
niż w tęczowych falach mazutu
trzydziestaków rwanych chmara,
gdy rozebrana, bez butów,
w spadających okularach,
w łachmanach, z zimna sina,
puszczając kobiety przodem,
schodziła polska lawina
na angielski parowiec.

*BORYS SŁUCKI – w 2019 roku obchodzimy 100 rocznicę urodzin poety.

MARCEL KRUEGER

Krzesto Olgi Tokarczuk przełożyła BARBARA SAPAŁA

W wywiadzie udzielonym w zeszłym roku dla „Calvert Journal” Olga Tokarczuk wyraziła swoje zdziwienie wiekiem mebli znajdujących się na wyposażeniu pewnej starej, szkockiej posiadłości, w której przebywała w ramach stypendium dla pisarzy. Niektóre z nich pochodziły aż z XVI stulecia. „Nasza rzeczywistość nie była taka stabilna”, stwierdziła Tokarczuk, „Polska leży bowiem w centralnym korytarzu Europy”.

Zgadzam się z tym także dlatego, że sam mieszkam na wyspie. I choć Irlandia przez stulecia doświadczyła swojej porcji przemocy i tragedii, często ma się tu poczucie, jakby przedmioty i miejsca, czy to przez przypadek, czy za sprawą losu, żyły nieco dłużej. W moim mieście Dundalk stoi zbudowana w 1240 roku dzwonnica przynależąca do klasztoru franciszkanów. Ostatni raz celowo wymierzonej w nią przemocy budowała ta doświadczyła koło roku 1315, kiedy to pod przywództwem Roberta the Bruce'a wtargnęli tu Szkoci i spalili klasztor, zabijając przy tym 23 mnichów. W samym miasteczku znajdziemy rozproszone, nadal służące właścicielom, wiktoriańskie skrzynki pocztowe z drugiej połowy XIX wieku. Spod republikańskiej zielonej farby, którą pokryto je po 1921 roku, wciąż wyzierają królewskie insygnia. W Dundalk co i rusz można natknąć się na wielowiekowe stoły i krzesa, i żadne z nich nie jest muzealnym eksponatem.

W Olsztynie jest inaczej. To miasto dużo bardziej doświadczone tragediami i najazdami. W zeszłym tygodniu w towarzystwie dziennikarki radiowej Alicji Kulik spacerowałem po Parku Jakubowym. Rozmawialiśmy przy tym o melancholii i wspomnianym wywiadzie z Olgą Tokarczuk. Park, przez który szliśmy, to niemalże doskonały symbol przerażających wydarzeń, jakie rozegrały się w tym mieście w przeszłości. I nie muszę sięgać pamięcią aż do średniowiecza. Park Jakubowy został założony w 1862 roku, w czasie, kiedy za sprawą pruskiej kolei i pruskich żołnierzy Olsztyn z małego, prowincjonalnego miasteczka przekształcił się w drugie co do wielkości miasto w Prusach Wschodnich. Wybudowano tu restaurację, halę na potańcówki i korty tenisowe. Dziś park ten z małym jeziorkiem, placami zabaw i z mnóstwem cienia pod koronami rosnących drzew jest przyjemnym miejscem dla tych, którzy lubią pospacerować i poleniuchować. Ale owe przerażające wydarzenia i tu zostawiły swoje ślady, obecne są w pomnikach i budynkach. Duży cmentarz ewangelicki, który znajdował się po drugiej stronie ulicy, zamknięto w 1973 roku, a na jego miejscu także utworzono park. Znajdująca się tam mała kaplica neogotycka wzniesiona w roku 1904 z czerwonej cegły służy dziś prawosławnym mieszkańcom miasta jako Cerkiew Opieki Matki Bożej. Zaraz obok znajduje się pomnik Bogumiła Linki (1865-1920), działacza narodowego i socjalisty, który w trakcie konferencji pokojowej w Paryżu zabiegał o przyłączenie Warmii wraz z Olsztynem do nowo powstałej Rzeczypospolitej Polski. Zginął z rąk niemieckich policjantów podczas



plebiscytu w roku 1920. Pomnik wykonany przez rzeźbiarkę Balbinę Świtycz-Widacką postawiono w roku 1975 i to w nieprzypadkowym miejscu. W położonym po przeciwnej stronie ulicy Parku Jakubowym w roku 1928 obywatele miasta Allenstein ufundowali tzw. pomnik plebiscytowy upamiętniający głosowanie z roku 1920, w wyniku którego jedenaście południowych powiatów Prus Wschodnich pozostało w granicach Rzeszy. Obok podobnego pomnika wzniesionego w Marienburgu (dzisiejszym Malborku) i Mauzoleum Hindenburga w Hohenstein (dzisiejszym Olsztynku) było to jedno z najważniejszych miejsc pamięci narodowej w Prusach Wschodnich.

Naprzeciwko znajduje się miejsce, które przywołuje pamięć o tym, do czego może doprowadzić skrajny nacjonalizm – tam, po drugiej stronie ulicy, spoczywają ofiary hitlerowców: pacjenci dawnego szpitala psychiatrycznego w Kortau (dziś miasteczko uniwersyteckie Kortowo), zamordowani w wyniku hitlerowskiego programu eutanazji, więźniowie filii obozów koncentracyjnych w Prusach Wschodnich i cywile, którzy zginęli w ostatnich dniach wojny. Pozostali jeszcze przy życiu pacjenci z Kortau, a także personel szpitala i ludzie uciekający w popłochu z zajmowanych terenów stracili życie w masakrze, jaką urządzili im w 1945 roku czerwonarmiści.

Pomnik plebiscytowy w roku 1972 zastąpiono innym. Monumentalna konstrukcja autorstwa rzeźbiarza Bolesława Marschalla poświęcona jest „Bohaterom Walki o Wyzwolenie Narodowe i Spoleczne Warmii i Mazur”. A u wylotu pobliskiej ulicy Sybiraków miejsce zajął pomnik ku czci wszystkich tych Polaków, którzy wywiezieni zostali przez Armię Czerwoną do sowieckich łagrów. Na upamiętniającym ich kamieniu wyryto nazwy miejsc zsyłek. Wśród nich jest także Świerdłowski na Uralu (dziś Jekaterynburg), dokąd prosto z gospodarstwa położonego na przedmieściach Olsztyna wywieziono także moją babcię.

Wszystkie te tragedie wydarzyły się na przestrzeni niecałych stu lat. A mimo to wciąż znajdują się ludzie, którzy próbują wykorzystywać je do celów politycznych. Myślę jednak, że ci, którzy byli tu przed nami, zapisali nam w testamencie lepsze przesłanie. Park to piękne miejsce i kiedy spacerowałem po nim w towarzystwie Alicji, świeciło słońce, a po drewnianych konstrukcjach placu zabaw hasała roześmiana grupa szkolnych dzieci. Alicja pokazała mi starą fontannę w formie ozdobnej kamiennej misy otoczoną ławkami. „Może jest to nasza lokalna wersja krzesa Olgi Tokarczuk”, powiedziała. I ja myślę, że miała rację. Może lepiej tak właśnie patrzeć na przeszłość. Ludzie powinni potrafić bez zazdrości i nienawiści dzielić się dobrymi rzeczami, niezależnie od tego, kto je stworzył. Prawdopodobnie fontanna ta jest dziełem jakiegoś niemieckiego, żydowskiego lub polskiego artysty, ale nie jestem przekonany, czy ma to jakieś znaczenie. Jest to po prostu piękna, stara fontanna w przyjemnym parku.

MARIUSZ GÓRALSKI

NIEŚMIERTELNI WŁADCY CZASU

1 - NAUTUS, MAREK, POLICJANT II

2 - SPECTRA, MATKA, JUST@TEEN, POLICJANTKA I

3 - ZEEDOS, OJCIEC, DZIADEK, POLICJANT I

Elementem scenografii jest duża płaszczyzna do projekcji.

Scena 1

Na ekranie projekcja zdjęć kosmosu, który przemierzają kosmiczne statki. W tle podniosła muzyka. Nautus w kosmicznym mundurze (jak potem Zeedos i Spectra).

1_NAUTUS

Widziałem rzeczy, którym wy, ludzie, nie dalibyście wiary. Kosmiczne bitwy, armady nacierające na siebie, rakiety prujące poprzez nieskończoną pustkę, uniki gigantycznych krążowników, rozrywane burty, przełamywane kadłuby, płonące floty na tle gwiazd.

Dźwięk z głębi.

1_NAUTUS

Wynurzyliśmy się z podprzestrzeni. Napęd hiperprzestrzenny zamilkł. Cisza zaległa w moich uszach. Przedem mną cel podróży X592581, typowy układ planetarny w średnim rozkwicie. Cel misji za 625 jednostek czasu. Moja flota przygotowuje się do ataku. Krążownik, niszczyciele na flankach, ścigacze. One zaatakują pierwsze, wypływają myśliwce, by związać zaskoczonego przeciwnika. Niszczyciele podejmą atak na ważniejsze cele. Ja z dział hyperjonowych zadam decydujący cios.

To będzie wielkie, ale i łatwe zwycięstwo. Przeciwnik całkowicie zaskoczony. Nie spodziewał się ataku, opuścił swój świat. Cel misji za 403 jednostki. Już czas.

Scena 2

Zjawia się Marek, zwyczajny nastolatek. Rzuca plecak z książkami, manipuluje po ekranie obserwując walczące statki.

1_MAREK

Co robicie na moim terenie?

3_ZEEDOS

Mark_2005! W końcu przybyłeś!

1_MAREK

Historyczka zachorowała. Odwołali ostatnią lekcję.

3_ZEEDOS

Ona i jeszcze taki jeden zaatakowali twój system. Dobrze, że to zauważyłem.

1_MAREK

Dzięki! Zawsze można na ciebie liczyć.

3_ZEEDOS

Nie dziękuj tylko bierz się do roboty, bo ledwo już zipię. Mocno oberwałem.

1_MAREK

Jeszcze moment, już ci idę z pomocą. Za chwilę maszynownie moich okrętów osiągną pełną moc.

Marek atakuje Spectrę.

1_MAREK

A w ogóle, co to za jedna?

3_ZEEDOS

Nie chce powiedzieć.

1_MAREK

Nie przypominam jej sobie.

3_ZEEDOS

Ja też. A ciężko nie zapamiętać. Kobieta. Ale nowicjuszka to nie jest. Walczy doskonalnie, zupełnie jak my.

1_MAREK

Nie walczyłem jeszcze z dziewczyną.

Spectra walczy, ale jest coraz bardziej osłabiona.

2_SPECTRA

Na nic moje wysiłki. Odlatuję z moją flotą.

Ucieka.

3_ZEEDOS

Za nią!

1_MAREK

Zostaw, to dziewczyna. Kobieta będziesz bił?

3_ZEEDOS

Zresztą i tak nieźle oberwałem. Dopadniemy ją innym razem.

1_MAREK

Ładnie walczyła. Fajnie będzie znów ją spotkać.

Scena 3

Marek i Zeedos rozmawiają o kopalniach surowców, budowie floty.

Wchodzi Matka zmywając podłogę mopem, lawiruje między nimi, oni unoszą nogi.

2_MATKA

Marek! Ale zaświniłeś podłogę!

Marek nie reaguje.

2_MATKA

Lekcje odrobiłeś?

1_MAREK

Potem.

2_MATKA

Potem, potem, wszystko potem. Na dwór chociaż wyjdź. Słońce świeci, a ty w domu.

Z kolegami byś porozmawiał, a nie tylko patrzysz w ten ekran.

1_MAREK

Ale gadam z kolegą!

2_MATKA

Gdzie?

1_MAREK

Z kolegą gram.

Matka wykrzywia się mu przypatrując.

2_MATKA

To tu, w rogu ekranu?

Zeedos zachowuje się jak mały, onieśmielony chłopczyk. Matka macha do niego, on odmachuje.

2_MATKA (głośno)

To chyba nie kolega z klasy? Nie przypominam sobie.

1_MAREK

On jest z Ameryki.

2_MATKA

Z Ameryki? To jak będziesz w Olsztynie, to może zajrzysz do nas? Tu blisko mamy bardzo ładny Orlik. Pogracie sobie w piłkę. Albo Marek odwiedzi ciebie.

1_MAREK

Mogę lecieć do Ameryki?

2_MATKA

A czemu nie? Tata podrzuci cię samochodem.

1_MAREK

Do Ameryki?!

2_MATKA

To tylko kilka kilometrów od Olsztyna.

1_MAREK

Mamo! On jest z tej prawdziwej!

Matka się peszy, obciąża ubranie, chowa mop za siebie.

2_MATKA

Angielski ci się przydał.

1_MAREK

Trochę. My gramy.

2_MATKA

Ja w szkole tylko niemiecki miałam. (głośno) Szprehenzi dojcz?

1_MAREK

Mamo!

2_MATKA

Skąd wiesz, może zna?

Zeedos nie odzywa się, jest wciąż onieśmielony. Matka rzuca się do biurka, robiąc tam porządkę.

2_MATKA

Chociaż mógłbyś na biurku sprzątnąć. Co on sobie pomyśli? Na taki śmietnik patrzy. *Matka przestawia router z którego wychodzi wiele kabli, Marek wpada w panikę, gdy ekran zmienia się w niebieską planszę z napisem "404".*

1_MAREK

Mamo, co zrobiłaś?!

2_MATKA

Tyle tu kurzu.

1_MAREK

Rozłączyłaś!

Marek jest bardzo zdenerwowany, naprawia router. Zeedos gestykuluje, jakby coś mówiąc, lecz tego nie słychać i Marek go nie widzi. W końcu Zeedos macha ręką i schodzi ze sceny.

2_MATKA

Nic nie ruszałam. Nic się nie stało. Zagrasz drugi raz.

1_MAREK

Nie rozumiesz! To RTS!

2_MATKA

To teraz jasne!

1_MAREK

Nie śmiej się. To trwa non stop, całą dobę, cały czas.

2_MATKA

To tylko gra. Nie przesadzaj.

1_MAREK

A jeśli mnie zaatakowali? Mogę stracić wszystko, co zdobyłem!

2_MATKA

To zagrasz jeszcze raz.

1_MAREK

Ty nic nie rozumiesz! Wiesz, ile kosztowało mnie to wysiłku, ile godzin?

2_MATKA

Ale to trwało tylko chwilę.

1_MAREK

Ta chwila może zdecydować o wszystkim!

2_MATKA

To tylko gra przecież.

Matka wychodzi.

Scena 11

Nautus atakuje Marka, Zeedos pomaga mu się bronić. Marek mówi, że Nautus uwziął się na niego i wciąż go atakuje. Że przypomina mu chłopaka, który w szkole też mu często dokucza.

Na ekranie młody chłopak na szkolnym boisku. Kamera jest punktem widzenia Marka. Chłopak zaczepia go, popycha, przewraca na ziemię. Naśmiewa się z niego. Wokół inni chłopcy przyglądają się tylko, nikt nie chce mu pomóc.

Scena 12

Rodzice martwią się o syna. Opuścił się w nauce, opuszcza lekcje. Mówią o przesiadywaniu przed komputerem. Zastanawiają nad ograniczeniem czasu gry.

Scena 13

Dziadek szuka wnuka, w ręku pilot. Na ekranie Marek ucieka przed nim długim korytarzem kosmicznego statku. Chowa się w bocznych korytarzach, wygląda i ucieka dalej.

3_DZIADEK

Marek, widziałem cię! Nie uciekaj, pomóż mi!

Marek wbiega za drzwi, po chwili wychyla się, wywiesza kartkę "don't disturb". Zbliżenie na drzwi.

3_DZIADEK

Nie chowaj się! Wiem, że jesteś. Słyszałem. Miałem cię przypilnować. Mama mówi, że opuszczasz lekcje. Wychodz. O trzeciej się zbudziłem i już nie spałem do rana. Męczyłem się i męczyłem, i przed siódmą musiałem zasnąć. A jest już po dziewiątej, a miałem pilnować, żebyś do szkoły poszedł. I zobacz ten pilot. Czemu on znowu nie działa? Naciskam i naciskam, i nic! Nie chowaj się!

Dziadek podchodzi do ekranu, popycha drzwi. Wyciemnienie, rozjaśnienie. Na scenie pojawia się Nautus i Spectra. Walczą z dziadkiem. W drzwiach pojawia się Marek.

1_MAREK

Nie dasz im rady dziadku.

3_DZIADEK

Trzy lata byłem w wojsku. Bosman Kowalski melduje się na wachcie. Dowódca działa 130mm prawej burty niszczyciela "Wicher". Na moją komendę, ładuj! *Dziadek ostrzeliwuje się ze swoich dwóch lasek. Na ekranie kosmiczny krążownik pluje ogniem. Nautus i Spectra upadają w rytm eksplozji.*

1_MAREK

Super dziadku! Jeszcze trochę!

Ale Nautus i Spectra kontratakują, zrzucają Dziadka ze sceny. Upada nieprzytomny na ekranie obok Marka.

1_MAREK

Co ci dziadku?!

Marek próbuje przywrócić Dziadka do przytomności, w końcu wybiega i powraca ze szklanką wody, polewa go. Dziadek wpada w konwulsje, szamocze się powoli przemieniając w kosmitę o sześciu kończynach w marynarce dziadka. Marek ucieka, chowa się za drzwiami, wygląda zza nich. Dziadek-kosmita podnosi się i schodzi z ekranu. Pojawia się na scenie. Atakuje Nautusa i Spectrę. Jakiś czas walczą. Gdy przeważa, Nautus unosi ponad siebie małą baterię, Dziadek-kosmita łagodnieje. Nautus zachowuje się jak treser w cyrku, a Spectra, jego asystentka. Dyrygują Dziadkiem-kosmitą, który wykonuje jakieś sztuczki, po których jest nagradzany baterijką, którą natychmiast łapczywie pożera. Zdumiony Marek przygląda się temu zza drzwi.

Scena 14

Po konflikcie z przeciwnikami dochodzi do wielkiej bitwy. Marek dusi Spectrę, przełamuje Zeedosa na pół. W finale walczy z Nautusem (inny aktor!). Nie mogą siebie pokonać, stają na skraju przepaści.

3_NAUTUS

Co robisz?! Obaj zginiemy!

1_MAREK

Jestem nieśmiertelny. Odrodę się. Ta gra nigdy się nie skończy.

3_NAUTUS

Nieeee!

Walcząc staczają się ze sceny. Pojawiają się na ekranie, gdzie dalej walczą wirując i opadając pośród gwiazd. Na moment przed wyciemnieniem roztrzaskują się.

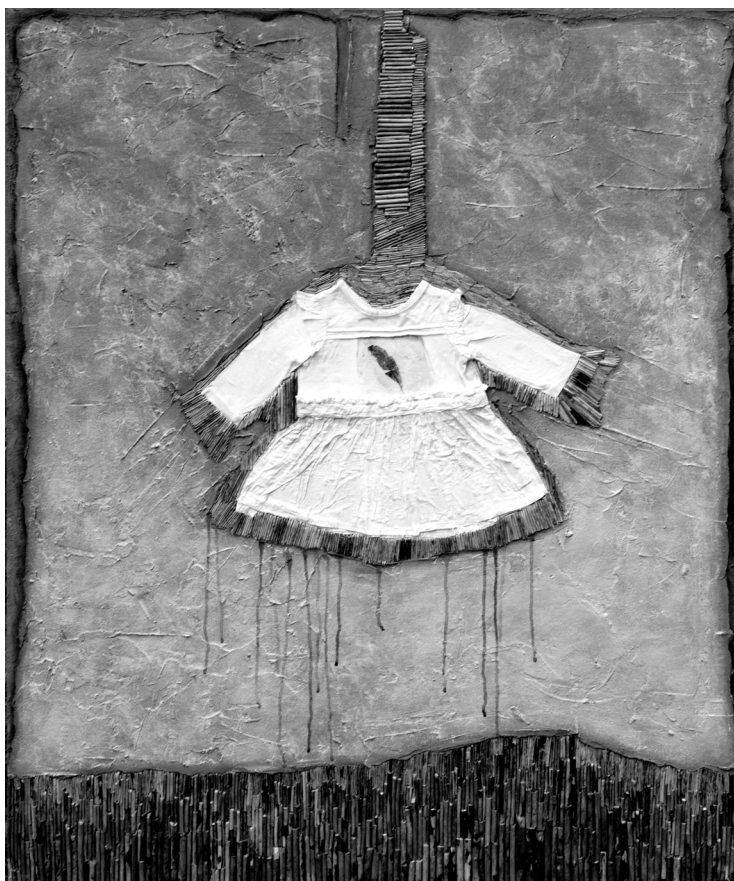
Wyciemnienie.

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA: ANNA DROŃSKA – EKOLOGIA I SZTUKA

Funkcjonujemy w medialnym szumie. Natłok informacji stał się nieodłącznym aspektem naszej egzystencji. Wśród komunikatów i doniesień o kondycji współczesnego świata słowo ekologia rozbrzmiewa jak powtarzana mechanicznie mantra. Jego brzmienie przylgnęło do narracji naukowych, biznesowych i politycznych, zatracając swój sens i należne znaczenie. Kto z nas pamięta, że etymologia tego terminu odnosi się do jego greckiego źródłosłowu, wg którego ekologia to nauka o domu. W tym skromnym terminie mieści się całe spektrum relacji i zależności między wszystkimi żywymi istotami, które z gatunkiem ludzkim współtworzą naszą ziemską rodzinę. Mając skłonność do skupiania się na tym, co mierzalne i policzalne, sprawnie systematyzujemy struktury międzygatunkowych związków, ubierając je w statystyczne wykresy, diagramy i obliczenia. Ich interpretacja nie pozostawia złudzeń – nie jesteśmy łatwym współdomownikiem. Subtelności zachwianych relacji między naszym gatunkiem, a resztą ożywionego świata często wymykają się naukowym prawdom. To, co nieoczywiste, oparte na odczuwaniu i intuicji, odbija

się echem w działaniach humanistów i artystów. Sztuka określana mianem ekologicznej pozwala doświadczać relacji człowieka z naturą tam, gdzie interpretacje naukowe i literackie wydają się niewystarczające. Odnosi się do trudnych do zwerbalizowania uczuć i wrażliwości, które mogą być drogą do współodczuwania świata w jego prawdziwej, naturalnej formie. Artyści podejmują próbę zdekonstruowania antagonistycznego układu natura – kultura, wskazując człowiekowi zaszczytne miejsce w kręgu życia, które opuścił, wklajając się w zgubny system produkowania, zarabiania i konsumowania. Działania artystyczne nawiązujące do ekologii mają szansę być narzędziem do zrozumienia komunikatów, które wysyła nam naturalny świat. „Świadomość tego, że głębokie doświadczenie jedności życia jest podstawowym warunkiem sensownej działalności na rzecz Ziemi, nie jest powszechna nawet w środowiskach przyrodniczych. Być może trafi tam najpóźniej m.in. poprzez sztukę ekologiczną i działania jej towarzyszące?”¹

1. Marek Karpiński „Czy istnieje sztuka ekologiczna” Zielone Brygady nr 10, <http://www.zb.eco.pl/zb/10/sztuka.htm>



Szatka, technika własna, mieszana, 125/100 cm, 2019

ANNA DROŃSKA



Dwie, technika własna, mieszana, 150/250 cm, 2017



Z lasu, technika własna, mieszana, 70/70 cm, 2017

EWA K., opracowanie IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Miasto, gdzie jest zamek

Jestem na walizkach i strach mnie ogarnia, że nie zdążę. Samochód przeprowadzkowy zamówiony, a jest jeszcze tyle spraw do załatwienia. Z lokatorami, którzy tu będą mieszkali, jeszcze musimy sporządzić protokół przekazania, a poza tym pakowanie, pakowanie, pakowanie. Bolą mnie już ręce i barki, ale muszę się sprężyć, termin jest krótki. Wczoraj pakowałam aż do północy. Zwykle mam kryzysy około dziewiątej i padam wtedy na nos. Pakuję się od dwóch tygodni, chociaż najwięcej zrobiłam w ostatnich dniach, po powrocie z Łodzi. Mam bardzo dużo książek oraz szkła. Po co mi tyle tego? Zastanawiam się. Oczywiście robię przebiórki, zwłaszcza gazet, których wielkie torby wносиłam na śmietnik. Oddałam dużo ubrań – akurat była zbiórka. Pozbywam się przede wszystkim rzeczy, przy których stwierdzam, że już ich nie chcę, nie potrzebuję. Mieszkaliśmy przy ul. Pana Tadeusza trzydzieści lat – trzydzieści lat w Olsztynie. Prawie pół życia. Sprowadziliśmy się tutaj z Łodzi, moja córka miała wtedy cztery i pół roku. Przyjechaliśmy tu ze względu na mieszkanie, które kupiliśmy od rodziny. W Łodzi nie mieliśmy szans na własne „M”. Nawet wynająć tam coś było trudno, taki był okres, bardzo słaby rynek lokalowy. A tutaj znalazło się mieszkanie. Poprzedni właściciele wyjeżdżali do Niemiec i odsprzedali je nam. Po przeprowadzce do Olsztyna trafiłam na kryzys z pracą, był to rok 1989. Miałam problemy ze znalezieniem pracy, ale jakoś się poukładało.

Mieszkanie nie jest zbyt duże, ale większy pokój ma 21 m² i czuje się tę przestrzeń. Pomieszczenia są wyższe niż standardowo, jest czym oddychać. Wszyscy moi goście twierdzili, że jest w mieszkaniu dobry klimat. Sam budynek pochodzi z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Zbudowany został z cegły, wiem to, bo kiedyś, żeby powiesić obraz, nie mając wiertarki, wierciłam śrubokrętem dziurę w ścianie. W trakcie wbijania sypała się cegła.

Budynek administrowany jest przez Spółdzielnię Mieszkaniową „Pojezierze”. Spółdzielnia wydaje gazetkę „Echo Pojezierza” i kiedyś widziałam w niej zdjęcie mojego bloku zaraz po zasiedleniu. Skwer obok domu na zamieszczonym tam zdjęciu był zupełnie łysy, stała na nim budka telefoniczna, świeżo posadzone modrzewie wyglądały rachitycznie, a za blokiem widać było pola. Gdy ja się wprowadziłam na ul. Pana Tadeusza, dookoła były już bloki.

Pamiętam, jak mi się podobało, gdy tu zamieszkałam. W Parku Kusocińskiego były plenerowe spotkania z muzyką – między innymi koncert zespołu Big Day, usłyszałam ich wtedy po raz pierwszy, zachwycili mnie. Koncerty odbywały się w nowej części parku, od strony OZOS-u. Tunel pod ul. Dworcową (dawniej Kaliningradzką) oddziela starszą część parku od nowej. Teraz ta część jest też już „stara”, ale gdy się tu wprowadziłam,

było widać różnice. Drzewa były niższe i nie tak rozłożyste. W parku wciąż coś dosadzają, jest nawet miłorząb. Odkryłam to pewnego dnia, siadając na ławce. Zobaczyłam trójkatne listki, a to właśnie był miłorząb. Wcześniej były tylko dwa takie drzewa w Olsztynie – przy Teatrze im. S. Jaracza i w Kortowie, potem dosadzono miłorząb na starej Warszawskiej. A teraz jest na tyle dostępnym drzewem, że pojawia się w różnych miejscach.

Moje osiedle kojarzy mi się z dobrym funkcjonowaniem, wszędzie mam blisko. Ulica Pana Tadeusza to takie miejsce, z którego, przy ładnej pogodzie, mogę dotrzeć do centrum, idąc piechotą przez park, ale również mogę podjechać autobusem, gdy tego potrzebuję. Gdy jest korek na Dworcowej, to wolę podejść – jazda, a raczej stanie w korku, frustruje. Uważam, że Osiedle Pojezierze zostało dobrze zaprojektowane, z dobrą infrastrukturą, z dużym parkiem, przestronną kawiarnią (dawniej Hortex, dziś Tortex, którego wnętrze było podzielone na kawiarnię i bar z lodami, ciastami i ciastkami na wynos).

Mieszkanie przy ul. Pana Tadeusza to sąsiedztwo największego zakładu produkcyjnego w Olsztynie, dziś Michelin Polska, dawniej OZOS. Bliskość daje się odczuć zapachem i czasami hukiem, gdy otwierane są filtry i wypuszczają ogromną ilość gazów. Huk jest taki, jakby leciał odrzutowiec. Zapachy najbardziej odczuwa się latem, gdy jest ciepło i przebywa się dużo na powietrzu. Bywało tak, że gdy wychodziłam z domu do parku, nagle uderzał mnie odór, najczęściej niedogodności te odczuwalne były w weekendy.

Blisko jest też stadion Stomilu, więc zawsze wiedziałam, kiedy był mecz. Przy otwartych oknach słychać, co się na nim dzieje. Okrzyki kibiców niosą się po osiedlu. Często fani olsztyńskiego klubu przechodzą tędy i „śpiewają”. Nie da się tego nie zauważyć, a tym bardziej nie usłyszeć. Atmosfera stadionu wychodzi na ulice.

Wizyta papieża Jana Pawła II w Olsztynie w 1991 roku i jego spotkanie z wiernymi w nowej części Parku Kusocińskiego wzbudziły panikę wśród sąsiadów. Wtedy była akcja w bloku, żeby zakładać domofony, bo wszyscy zaczęli się bać tłumów, które tu będą. Cały park podzielony był na sektory, ogromna liczba ludzi, jeszcze większe przeżycia. Po tym wydarzeniu został niebiesko-biały krzyż w parku oraz kaplica. Zaskoczyło mnie później, gdy któregoś razu poszłam w to miejsce i zamiast małej kaplicy wyrósł przede mną kościół. Widocznie dawno w tamtą stronę nie chodziłam.

Kiedy zamieszkałam w Olsztynie, nazwiska patronów ulic nic mi nie mówiły. Kiedy poznałam trochę historii miasta, zaczęło mi się wyjaśniać – to byli księża, społecznicy, nauczyciele. Tu działały polskie szkoły, tu wychodziły polskie gazety, by język polski w regionie trwał i docierał do jak największej liczby ludzi. Germanizacja była bowiem silna i bardzo surowa. Po pierwszym spacerze z przewodnikiem, dzięki któremu

dowiedziałam się wielu rzeczy o Olsztynie, wsiątkam i nie mogłam doczekać się następnych wyjść. Potem były wycieczki kolejowe, autokarowe, piesze krótsze i dalsze. Poznałam mnóstwo fajnych ludzi. Na jednym ze spacerów organizowanych przez PTTK tematem była „Gazeta Olsztyńska”. Wtedy dowiedziałam się wiele o ludziach związanych z wydawnictwem. Potem na Nocy Muzeów, gdy odwiedziłam Dom Gazety Olsztyńskiej, zupełnie inaczej patrzyłam na dokumenty tam zgromadzone. Nie mogłam wyjść z muzeum. To już nie była jakaś placówka, którą zaliczyłam, tylko coś bliskiego. Nauczyłam się wiele, mieszkając w Olsztynie – szerszego spojrzenia na to, gdzie jestem. W Łodzi mnie to wcześniej nie zajmowało.

Zmiana miejsca zamieszkania to przemyślany wybór. Córkę odchowałam w Olsztynie – najpierw było przedszkole na ul. Świtezianki, gdzie pani dyrektor stwierdziła, że jedno dziecko więcej w grupie nie stanowi problemu. Potem podstawówka, szkoła średnia i wyjazd do Łodzi na studia i do babci. Tam już została, wyszła za męża i urodziła córeczkę. Teraz mam precudowną wnuczkę. Moi rodzice są już w określonym wieku i potrzebują mnie, wnuczka również – chcę być z nimi blisko przez cały czas, a nie tak z doskoku jak w ostatnim czasie, gdy jeździłam tam i z powrotem.

Ale gdy myślę o Olsztynie, to stwierdzam, że bardzo jestem z nim związana. Wyjazd jest trudny. Wiedziłam, że w końcu się przeniosę. Ale gdy ludzie mi mówili – po co tutaj mieszkasz, gdy najbliżsi są w Łodzi, powinnaś się przenieść – to miałam wrażenie, jakby mi kolce wyrastały. Ktoś będzie mi mówił, co ja mam robić! Przecież mam

swoje uczucia, mam znajomych, wspomnienia. Zrobiłam listę osób, które powinnam odwiedzić i aż się przeraziłam, że nie zdążę jej zrealizować przed przeprowadzką. Staram się spotkać, pogadać, pożegnać, wyściskać wszystkich. Odbywam kolejne spotkania, do niektórych osób wracam ponownie. Mam dobrą koleżankę, z którą regularnie się spotykamy w weekendy. Razem spacerujemy po Lesie Miejskim, najczęściej wzdłuż Łyny, bo ona mieszka na Zatorzu. Mam też koleżankę, z którą zbierałam zioła, jeździłyśmy na przykład w stronę sanatorium czy do Kortowa, gdzie daleko od spalin i „kosiłyśmy pokrzywy”. Chodziłam ze znajomymi również dookoła Jeziora Długiego czy nad Krzywe. Może nie byłam nad jeziorami zbyt często, ale jak wracałam do Olsztyna, zawsze czekałam na taki moment, kiedy przez okno zobaczę jezioro i wiedziałam, że to już moje okolice.

Olsztyn jest bardzo zielony i przy zakupie mieszkania w Łodzi przeglądałam mapę, sprawdzałam, gdzie tam są jakieś większe tereny zielone. Znalazłam mieszkanie w pobliżu Lasu Łagiewnickiego, będę tam się przemieszczać jakimś środkiem transportu, bo ja bez lasu to ani rusz.

Olsztyn powoli staje się dla mnie przeszłością – ważną, która zostaje we wspomnieniach. Jako dziecko marzyłam, żeby mieszkać w mieście, gdzie jest zamek. Dziecięce marzenie mi się spełniło. Teraz będę mieszkała z powrotem w moim rodzinnym mieście i mam nadzieję wykorzystać olsztyńskie doświadczenia – przeniosę je na grunt łódzki i będę poznawała Łódź.



Fot. Iwona Bolińska-Walendzik

MARCIN ZALEWSKI

Wybudowania, czyli działania krajoznawcze na ziemi lubawskiej

Wybudowaniami nazywa się na Pomorzu, Warmii i Mazurach oddalone od głównych zabudowań wiejskie osiedla – architektoniczne wyspy w krajobrazie. Powstawały po parcelacji i komasacji gruntów wiejskich na terenie byłego zaboru pruskiego, kiedy to rolnicy zaczęli budować siedliska na swoich gruntach, a nie jak wcześniej w zwartej zabudowie wsi. Właśnie od tego powszechnie używanego określenia Fundacja Wybudowania wzięła swoją nazwę. Organizacja pozarządowa założona w Kurzętniku w grudniu 2014 roku przez małżeństwo z ziemi lubawskiej za swój cel postawiła sobie twórcze powiązanie architektury, ruralistyki, antropologii oraz sztuki współczesnej dla poprawy jakości życia na terenach pozawielkowiejskich. Interesują ich tradycyjne i współczesne strategie wykorzystywania krajobrazów i miejsc dla potrzeb człowieka oraz pogodzenie ich z takimi wartościami dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego jak ład, zmienność i zaskakująca perspektywa. Prowadzą działania na rzecz zrównoważonego rozwoju i zachowania krajobrazu kulturowego, w szczególności obszarów wiejskich. Jako narzędzia pracy obrali sobie edukację, krajoznawstwo, wiedzę ekspercką i kreatywność, a polem działania jest przestrzeń i jej związki ze społecznościami lokalnymi. Mieszkają w Nowym Mieście Lubawskim na pograniczu Pomorza i Mazur, ale pracują wszędzie tam, gdzie stykają się człowiek i jego otoczenie.

„MY MAWA, MY DAWA, MY POWIAT LUBAWA!” –
MŁODZIEŻOWE KRAJOZNAWSTWO REGIONALNE

Czy młodzież zna swój hajmat? Czy czuje z nim więź? Podróże, internet, dostęp w zasadzie do całego świata wpływają na zagubienie tożsamości regionalnej, stajemy się obywatelami świata, zapominając o swoich rodzinnych stronach. Identyfikacja z regionem, poczucie przynależności do jego społeczeństwa mają ogromny wpływ na kształtowanie charakteru i postaw człowieka. Wzmocnienie poczucia przywiązania do zamieszkiwanego regionu wśród młodego pokolenia ziemi lubawskiej stało się jedną z misji Fundacji Wybudowania. Od 2016 roku realizuje corocznie cykl warsztatów połączonych ze spacerami badawczymi, podczas których uczestnicy rozpoznają mniej znane elementy dziedzictwa kulturowego regionu ziemi lubawskiej. Zajęcia odwołują się do pojęcia krajoznawstwa, czyli wszechstronnego poznawania regionu w połączeniu z wycieczkami. Za każdym razem warsztaty skoncentrowane są na innym temacie, w 2016 roku zajęcia nosiły podtytuł „Szlakiem wybudowań”, w czasie których przypomniano tradycyjne nazwy obszarów miasta, wybudowań, kolonii i miejsc bezludnych, a także przybliżono podstawy dziedziny wiedzy jaką jest toponomastyka. Używając metody aktywnej pracy za pomocą narzędzi literackich i plastycznych, młodzież sama stworzyła

miniprzewodnik wraz z planem z zaznaczonymi tak egzotycznymi miejscami jak Araratka, Cymbałowo, Holendry czy Hajdak.

W kolejnym roku zajęcia pt. „Ostatni przejazd drezyną” skoncentrowały się na nieczynnej linii kolejowej. Podczas spotkań młodzież poznawała losy i opowieści związane ze zlikwidowaną linią kolejową nr 251 Itawa-Tama Brodzka (Brodzka), która przebiegała przez takie miejscowości ziemi lubawskiej jak Radomno, Bratian, Nowe Miasto Lubawskie, Kurzętnik czy leśna stacyjka w Kałudze. Uczestnicy odkrywali zmiany przebiegu granic państw, do kąd prowadziły odnogi kolejowe i jak fatalnym rozwiązaniem dla społeczności lokalnej była likwidacja przewozów pasażerów i towarów. W terenie do porównywania zmian w krajobrazie i architekturze pokolejowej przydatne były arkusze map Messtischblatt z 1911 roku. W publikacji podsumowującej warsztaty czytelnik mógł poznać historię Taborowizny, nowomiejskiego dworca czy ruin gospodarstwa w Łąkach Bratiańskich.

A co w tym roku? „Boczne drogi” – bogata i ukształtowana przez setki lat sieć dróg, w których to przebiegu i otoczeniu zapisane są losy dziesiątek pokoleń mieszkańców regionu. Interesujące są zwłaszcza przemiany ich statusu, gdzie dawniej drogi o znaczeniu krajowym obecnie są zatartymi duktami, a wręcz miedziami w polach. Interesujące są także przemiany krajobrazu związane z drogami: dawne znaki i kamienie graniczne, kapliczki i krzyże, aleje i zadrzewienia, a także nazwy miejscowe.

Podsumowaniem warsztatów jest otwarta wycieczka rowerowa po najciekawszych miejscach opisanych w przewodniku. Turystyka rowerowa po nieoczywistych miejscach regionu w połączeniu z narracją historyczną jest ciekawą formą jego poznawania.

NOWE CIEPŁO

Od 2015 roku Fundacja Wybudowania włączyła się w organizację festiwalu sztuki współczesnej Nowe Ciepło w Nowym Mieście Lubawskim. Początkowo było to tylko wsparcie merytoryczne, jednak od 2016 fundacja przejęła organizację i kuratelę merytoryczną nad festiwalem. Idea festiwalu Nowe Ciepło zakłada realizację rozbudowanego działania artystycznego stojącego na wysokim poziomie merytorycznym i realizacyjnym, które to odbywa się w niewielkim ośrodku niezwiązanym tradycją czy historią ze sztuką. Twórcy festiwalu stawiają sobie za cel wygenerowanie języka sztuki współczesnej na terenie oddalonym nawet od regionalnych centrów życia artystycznego. Siłą i napędem festiwalu jest głębokie osadzenie w kontekstach życia lokalnego, zwłaszcza jego materialnych manifestacjach związanych z architekturą i krajobrazem. Kolejnym kluczowym elementem konstrukcyjnym festiwalu jest powiązanie pracy artystycznej z konkretnymi mieszkańcami regionu lub społecznościami oraz miejscami. W ten sposób realizacje

są silniej splecione z interesującą nas przestrzenią, a dzięki budowaniu relacji stają się bliższe mieszkańcom oraz unikają kolonialnego obciążenia. Festiwal w ciągu ostatnich trzech lat, kiedy to organizator sięgał po środki MKiDN oraz jego agend, nosił następujące podtytuły: „Budowa Systemem Gospodarczym”, „Produkcja Żywności” oraz „Ciężka Ziemia”. Zakres tematyczny festiwalu oscyluje w obszarze mieszkalnictwa i pracy, przemian krajobrazowych, architektury nieprofesjonalnej czy rolnictwa i jego przemian. Co roku powracają takie problemy jak peryferyjność i zależności pomiędzy wsią i małym miastem a dużymi ośrodkami oraz pomiędzy lokalnością a globalnością i modernizacją. Spoiwem, które stanowi punkt wyjścia do pracy, jest krajobraz i jego architektura oraz tysiące oddolnych i narzuconych przemian, które go kształtują. Nowe Ciepło, poza wytwarzaniem pola sztuki w przestrzeni niewielkomięskiej, to także miejsce poznania artystów profesjonalnych z twórcami lokalnymi, a także często miejsce pierwszego kontaktu mieszkańców Nowego Miasta Lubawskiego i okolic ze sztuką współczesną.

ŁĄKORZ. W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI PRZESTRZENI

Od 2017 roku Fundacja Wybudowania organizuje obóz dla wolontariuszy w ramach programu Narodowego Instytutu Dziedzictwa „Wspólnie dla dziedzictwa”. W czasie ośmiodniowego obozu grupa młodych ludzi pracuje z dziedzictwem kulturowym wsi Łąkorz i okolicy. Wywiady etnograficzne, wycieczki rowerowe i kajakowe, dokumentacja architektury wiejskiej dają szansę na poznawanie regionu ziemi lubawskiej. Jednak najbardziej rozpoznawalnym efektem obozu jest uporządkowanie nieczynnego cmentarza ewangelickiego. Cmentarz ewangelicki, nazywany przez mieszkańców „cherchaczem”, usytuowany jest poza wsią na skraju lasu. Mimo że każdy wie o istnieniu tego miejsca, niewiele osób je odwiedzało. Wspomnienia najstarszych mieszkańców wskazują na to, że cmentarz był bardzo zadbany, jednak po II wojnie światowej uległ dewastacji i zapomnieniu. Idea uporządkowania tej przestrzeni została poparta przez większość mieszkańców i wzbudziła ich ciekawość. Stan cmentarza nie wskazywał na dużą liczbą mogił, co więcej z 40 zinventaryzowanych w 1994 roku w gminnej ewidencji widocznych było kilkanaście. Zapał, zaangażowanie i ciężka praca przez kilka dni zaowocowały odkryciem i skatalogowaniem ponad 100 mogił. Zakrzaczony „cherchacz” zamienił się w malownicze miejsce i wzbogacił zasoby dziedzictwa materialnego Łąkorza. To, co działo się podczas obozu ostatniego dnia wolontariusze prezentują na spotkaniu z mieszkańcami w formie wystawy.

I WIELE WIĘCEJ

Poza trzema corocznymi projektami Wybudowania biorą udział w szeregu działań promujących krajoznawstwo, historię regionalną ziemi lubawskiej oraz sztukę współczesną. Tylko w tym roku organizujemy wycieczkę rowerową dawną granicą polsko-niemiecką, która w okresie międzywojennym oddzielała powiat lubawski (nowomiejski) od suskiego i ostródzkiego, splot kajakowy tropami ks. Władysława Łęgi, wielkiego etnografa Pomorza, ziemi chełmińskiej i lubawskiej czy warsztaty etnobotaniczne w Toruniu

i Poznaniu. Fundacja Wybudowania to charakterystyczny dla dużych miast model wyspecjalizowanej organizacji pozarządowej, który działa na terenie wiejskim i na jego rzecz. Największą ambicją Marcina Zalewskiego, Izabeli Redman-Zalewskiej i Tytusa Szabelskiego – członków zarządu fundacji – jest zwiększanie identyfikacji regionu ziemi lubawskiej i pielęgnacja jego wyjątkowych cech: pogranicznej kultury, ujmującego krajobrazu i ludzi o wielkim potencjale. Każdy, kogo interesują krajobraz, sztuka i kultura ludowa powinien skontaktować się z Wybudowaniami i poznać region ziemi lubawskiej.



Fot. z archiwum Fundacji Wybudowania

ANNA RAU

Mór nadchodzi! Schrońmy się w kaplicy

Zakon Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego swoje korzenie ideologiczne miał nie tylko – jak nazwa wskazuje – w Niemczech, lecz także i przede wszystkim w Ziemi Świętej. Trzeba też pamiętać, że jakkolwiek rycerze w białych płaszczach z czarnym krzyżem rzeczywiście wprowadzali chrześcijaństwo na ziemie sobie poddane ogniem i mieczem (ale który z ówczesnych władców i możnych duchownych Zachodu tego nie robił?), strzegli również i pielęgowali pielgrzymów przemierzających drogi świata do miejsc kultu, budowali warownie, zamki, młyny, spichlerze i kościoły oraz słuchali muzyki i sprowadzali tych, którzy ją uprawiali. Przede wszystkim jednak Zakon, jako sieć większych i mniejszych ośrodków rozsianych po całej Europie, posiadał informacje i dostęp do całej ówczesnej kultury wysokiej. Jego sercem, duchowym domem, genezą, mocą i pamięcią była Ziemia Święta z centrum zaangażowania wszystkich ówczesnych chrześcijan, czyli Jerozolimą, a dokładnie z odbudowaną bazyliką Golgotą – miejscem ukrzyżowania Chrystusa oraz Jego grobu. Sam grób otaczała – i otacza – budowla stosunkowo niewielka, wręcz skromna, jak na moc i rozciągłość idei, która go wzniosła. Krzyżacy w swoich modlitwach co dzień wspominali Grób Pański i Jerozolimę, czcąc Miasto-Oblubienicę Boga oraz wystawiając krzyż i kobietę, która również była Oblubienicą oraz niejako matką krzyża, Marię Pannę. Więź duchowa Krzyżaków z Jerozolimą i z Matką Boską była bezsprzeczna i silna – przynajmniej w duchowości oraz w licznych znakach kultury – i to właśnie „ci” i „tacy” Krzyżacy wprowadzili Warmię w świat metafor właściwych całemu światu chrześcijańskiemu, m.in. dzięki umieszczaniu w jej krajobrazie niewielkich budowli sakralnych, małych Golgot, czyli kaplic jerozolimskich¹.

W naszym regionie powstały cztery tego typu kaplice, choć do czasów obecnych zachowały się dwie – w Ormecie i w Olsztynie². Są one podobne, czyli niewielkie, proste, z tzw. sceną pasyjną w centrum, aby swoim kunsztem, czy nawet wielkością, nie odwołać uwagi wiernych od swego przeznaczenia, czyli duchowej łączności z Ziemią Świętą. Olsztyńska kaplica jerozolimska stoi u zbiegu ulic Grunwaldzkiej i Jagielloj. Powstała mniej więcej w połowie XVI w., a pierwsza wzmianka o niej została zapisana w 1565 r. podczas kościelnej wizytacji. Według prastarego przepisu kaplicę wzniesiono na wzgórzu, dokładnie w odległości jednej miary od bramy miasta – jak kaplicę Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Sąsiadem budowli był w owych początkowych latach szpital św. Jerzego, przeznaczony dla trędowatych, z czasem służący chorym na różne

dolegliwości zakaźne. Nic dziwnego więc, że na cmentarzu umiejscowionym przy kaplicy w XIX w. grzebano ofiary epidemii cholery, która przeszła przez Europę, zabierając przy tym również tysiące ludzi z Prus Wschodnich. Tę zbiorową tragedię przypomina żelazna pasyjka³ osadzona na prostokątnej podstawie z betonu i kamienia, z napisem na tablicy skierowanej na wschód cytującym znany i straszny w swej wymowie hymn: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie”. Wers ten oddaje moc przerażenia ludzi dawnych wieków – kiedy nagle a niespodziewana śmierć z mieczem, łukiem lub kwasem w dowolnym miejscu i porze czołała na każdego bez względu na jego wiek i status. Człowiek mógł tylko drżeć na myśl o własnej kruchości w starciu z niezliczonymi niebezpieczeństwami: grabiącymi rodzinne miasto armiami, powietrzem niosącym krosty i czarne plamy na skórze, brakiem plonów, a przede wszystkim z nieznaną przyszłością w wieczności. Strach przenikał wszystko, niweczył ciepło kody, miękkość leżącego obok ciała, dobroć słonecznego światła. Wszystko to spotęgowało się w dniach epidemii cholery. Po raz pierwszy Mór, jeździec apokalipsy, skierował swój łuk przeciw mieszkańcom Olsztyna w 1831 r. W sierpniu zmarło wówczas w naszym mieście 71 osób. Kolejny atak na Olsztyn nastąpił w 1855 r.⁴ i wtedy znów zachorowało 70 osób, z których 22 zmarły. Rok później cholera powróciła, zabijając z kolei 215 osób. Wtedy też mieszkańcy wnieśli drewniany krzyż przebłagalny⁵, który przez następnych 20 lat strzegł zdrowia i życia swych twórców, a w końcu padł spróchniały. Niezwłocznie więc wzniesiono jego następcę, tym razem ukutego z żelaza i przetrwał on do dziś dnia. Data jego wzniesienia – 1886 r. – wieńczy wspomniany błagalny napis. Krucyfiks stanowi dowód kunsztu XIX-wiecznych kowali, gdyż bogato ozdobił go motywami roślinnymi, otaczającymi figurę umierającego Chrystusa, zakończając ramiona krzyża liliami. Mimo dramatycznej historii żelaznej pasyjki uwaga obserwatora zawsze wraca do uwodzącej prostotą kaplicy jerozolimskiej. Budowla jest zadbane i była wielokrotnie restaurowana: np. już w 1609 r.⁶, kiedy otrzymała nową polichromię i odnowiony dach, następnie w 1775 r. (oraz prawdopodobnie 1798), kiedy zyskała cechy barokowe, a možny rajca miejski, kupiec Piotr Poleski, złożył pokaźną sumę na sfinansowanie tego remontu oraz tzw. beneficjum mszalne, czyli wieczyste msze św. Kolejną renowację wykonał w 1922r. malarz Albert Fotheg z Hamburga, pozostawiając po sobie nieistniejący obecnie napis na ścianie zewnętrznej „Treudank 1921”, ostatnia dotychczasowa zaś odbyła się w czasie niedostępnym wręcz wyobraźni Krzyżaków oraz nieszczęślików z XIX w., czyli

1. Do kaplic jerozolimskich na Warmii częstokroć pielgrzymowano w ramach łosier, czyli pielgrzymek. W olsztyńskiej zatrzymywali się pątnicy kierujący swe kroki do św. Wawrzyńca w Gutkowie, do św. Jana Chrzciciela w Jonkowie oraz do Krzyża Świętego w sanktuarium w Głotowie.

2. Kaplice w Lidzbarku Warmińskim i Bisztyńku nie przetrwały do naszych czasów.

3. Krzyż ów znajdował się od początku swego wystawienia do 1967 r. przy ul. Warszawskiej.

4. Choć inne miasta Prus Wschodnich traciły swych mieszkańców w kolejnych falach moru w l. 1848-1849, 1852-1853 (http://encyklopedia.warmia.mazury.pl/index.php/Epidemia_cholery_w_XIX_wieku (dostęp: sierpień 2019)).

5. Inicjatorem renowacji był burmistrz Olsztyna Jakub Rarkowski.

6. https://www.geocaching.com/geocache/GC7C00R_kaplice-olsztyna-04-kaplica-jerozolimska (dostęp: sierpień 2019 r.).



Fot. Iwona Bolińska-Walendzik

w l. 2008-2009. Pierwotne przeznaczenie kaplicy, czyli szczególny kult Męki Pańskiej oraz Krzyża Świętego, został przywrócony trochę wcześniej, w 1973 r., jakkolwiek miejsce to również oddano duszpasterstwu osób głuchych.

Kaplicę wzniesiono na planie prostokąta o wymiarach 8,05 na 6,25 m, obecnie jej styl można nazwać późnobarokowym. Ściany łączy niski dach dwuspadowy, którego zakończenia lekko wygięto. Można domniemywać, iż szczyt na froncie wieńczyła wieżyczka z dzwonem. Do kaplicy wchodzi się wyłącznie od strony ul. Grunwaldzkiej, aczkolwiek pusta, przeciwległa do wejścia ściana od ulicy Kromera ukazuje niejako zamurowany wśród cegieł łuk. Czyżby pierwotnie był tam świetlik, który ukazywał modlącym się wewnątrz wschodzące słońce? – jako że ołtarz zgodnie z tradycją najstarszych świątyń skierowany jest ku wschodowi, aby wierni rozpamiętywali Słońce, które nigdy nie zachodzi. Otwory okienne ozdabiają współczesne witraże, przypominające stylem te z olsztyńskiej katedry św. Jakuba. Serce kaplicy stanowi tzw. grupa pasyjna z 1510 r., czyli krucyfiks z naturalnej wielkości rzeźbą przedstawiającą ciało Chrystusa oraz po jego dwóch stronach mniejsze krzyże z postaciami dwóch łotrów, Dismasa i Gestasa. Trzem cierpiącym towarzyszyli niegdyś drewniani Matka Boża oraz św. Jan, niestety wraz z upływem czasu zaginęli oni bez wieści. Dwaj łotry, zarówno ten uznający swój grzech, jak i ten zbuntowany, zostali przywiązani do swych krzyżów za przedramiona i tkwią w wiecznym bólu zgiętych łokci oraz połamanych goleni, które symbolizują poziome, szeroko otwarte szramy na ich drewnianych nogach. Chrystus został przedstawiony tradycyjnie, w wyprostowanym z stężeniu pośmiertnym ciałem i szeroko rozciągniętymi ramionami, a Jego opaska biodrowa z czystego złota powiewa na niewyczuwalnym dla współczesnych wietrze. Rzeźba olśniewa powściągliwością i klasycznym pięknem proporcji ciała. Zarówno Zbawiciel, jak i Jego towarzysze niedoli zostali uchwyceni już w momencie śmierci, gdy są spokojni i wolni od bólu, choć Gestas nawet po śmierci pozostał skrzywiony w niezgodzie wobec swojego losu – zmarł

z otwartymi oczami i wyszczerzonymi zębami. Pozostaje nierozwiązana kwestia, dlaczego w kaplicy przypominającej swym kształtem świątynię zmartwychwstania umieszczono scenę śmierci zamiast niosącej nadzieję figury Powstałego z Grobu. Czy fakt wiekustego zatrzymania w pośmiertnej ciszy miał być pociechą dla wszystkich zbolatych i łaknących nadziei? Prawdopodobnie ówczesnych bardziej uspokajała wizja czegoś, co znają, czyli ich podobieństwo do umęczonego Boga, nie zaś enigmatyczna i idealistyczna wizja przebóstwionego i radosnego ciała Zmartwychwstałego⁷. To mądrość realizmu oraz pogodzenia się ze swoją naturą. Wizerunek Ukrzyżowanego jeszcze bardziej działa na widza dzięki tłu z białej, otynkowanej ściany⁸. Reszta jest milczeniem. Choć... czy każdemu z nas nie przydałoby się taka osobista, wewnętrzna kaplica-monument? A w niej jakiś obraz, cel, pojęcie, które by uspokajało, nadawało naszym mniemaniom realizmu, dodawało otuchy, przypominało o ciągłości i naturalności tańcucha życia i śmierci w momencie osobistej, szeroko rozumianej, epidemii. Nasi przodkowie z Allenstein dali nam przykład.

Wnieśmy kaplicę, bracia chrześcijanie,
w niej nam przetrwanie, w niej nam ratowanie.
Gdy mór panuje i zewsząd cierpienie,
Daj, Bóg, zbawienie.

Bibliografia:

- Kopiczko Andrzej, Kościoły i kaplice w Olsztynie, Olsztyn, AD REM, 2000, s. 25-28.
 Kaplica Jeruzolimka pw. Krzyża Świętego w Olsztynie, http://leksykonkultury.ceik.eu/index.php/Kaplica_Jeruzolimska_pw_Krzyz%C5%BCa_%C5%9Aw%C4%99tego_w_Olsztynie (dostęp: sierpień 2019).
 Piechocki Stanisław, Dzieje olsztyńskich ulic, Olsztyn, Remix, 1998, s. 66.
 Piechocki Stanisław, Olsztyn nie tylko magiczny, Olsztyn, Remix, 2005, s. 20-21.
 Żelazny krzyż w Olsztynie, http://leksykonkultury.ceik.eu/index.php/%C5%BBelazny_krzyz%C5%BC_w_Olsztynie (dostęp: sierpień 2019).

7. Tego typu figury wykorzystuje się do dziś podczas procesji rezurekcyjnych.

8. Trzeba dodać, że na ścianach kaplicy znajdują się również obrazy „Chrystus z Marią Magdaleną” z początku XVII w., „Matka Boska z Dzieciątkiem” z XVIII w. i „Matka Boża Bolesna” z XVIII w. W tylnej części kaplicy umiejscowiono drewniany chór.

EWA AFTEWICZ

Mądrzej jest się bać – recenzja *Zmorojewa* i *Świątyni* Jakuba Żulczyka

Zapach butwiejących drzew, chłód wieczornej rosy na mchu pod stopami, cichnące odgłosy zwierząt układających się do snu w gąszczu lasu. Mrok. I zło – czające się nieopodal, zapomniane i lekceważone, naiwnie ignorowane. Jakub Żulczyk umie niepokoić i straszyć – o czym możemy się przekonać podczas lektury *Zmorojewa* i *Świątyni*. Głównym bohaterem *Zmorojewa*, a także jego kontynuacji – *Świątyni* – jest Tytus Grójecki, chudy, stroniący od sportu nastoletni wielbiciel horrorów i gier komputerowych. Właśnie zakończył się rok szkolny, a rodzice Tytusa wysyłają go na wakacje do dziadków, które zapowiadają się jako najnudniejszy okres w jego życiu. Nic bardziej mylnego. Z mazurskich lasów na powierzchnię powoli wypęta zło, które powstrzymać może tylko tajemniczy Powiernik. Mit miesza się z prawdą, dawne opowieści i baśnie okazują się rzeczywistością, a Tytus i towarzysząca mu, poznana niedawno, rówieśniczka Anka muszą stanąć do nierównej walki światła z mrokiem.

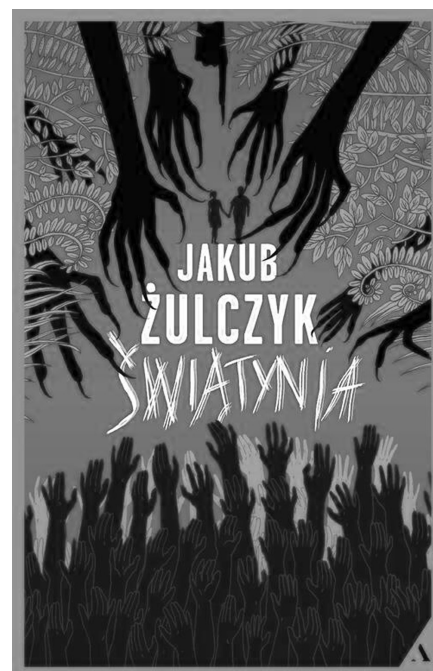
Jakub Żulczyk umiejętnie żongluje znanymi legendami o kwiecie paproci, o Panu Twardowskim czy Świteziance. Zręcznie wplata je we współczesny język oraz w przerażające wydarzenia, spotykające bohaterów tej historii. Strzępowaty i Gangrena – czyli wystannicy zła, których poznajemy w pierwszych akapitach *Zmorojewa* – to kumulacja najgorszych ludzkich odruchów i popędów, choć oni sami ludźmi nie są. Wykreowani antagoniści są niepokojąco prawdziwi i autentycznie przerażający, dlatego po te tytuły bez obaw może sięgnąć czytelnik w każdym wieku – na pewno nie będzie się nudził.

W kontynuacji historii Tytusa – *Świątyni* – przekonujemy się, że prawdziwe zło nigdy nie daje za wygraną i choć zwycięstwo wydawało się pewne, to bohaterowie ponownie muszą stanąć twarzą w twarz z wnikającym do ich świata niebezpieczeństwem. I to tak przerażająco innym, na które dawne sposoby nie działają.

Ogromną zaletą tych dwóch książek jest urzekająca trafność opisów zdarzeń, postaci oraz otaczającej nas scenerii. Rozpoczynająca historię wizja krwistej purpury zachodu słońca, która spływa po pniach drzew i powoli ścieka na krzaki i paprocie, pozwala namacalnie odczuć atmosferę nadchodzącego wieczoru w lesie. I właśnie ten realizm, niepokojące pomieszenie naszej rzeczywistości z dokładną charakterystyką upiórów sprawia, że co chwila czujemy w głębi żołądka ukłucie strachu. Zło staje się najgroźniejsze wtedy, gdy je zlekceważymy, bo może zaciąć się wszędzie.

„Nikt się nie spodziewał, że to, co tak długo ludzi odstraszało, nagle zacznie ich przyciągać i podniecać. Że zło już nie będzie złem, a przerażenie przerażeniem, że wszystko się zmieni we frajdę, w lunapark. Głupi ci ludzie, moje dziecko. Coraz to durniejsi”.

Pozycje te są godne polecenia zwłaszcza nastoletnim odbiorcom, którzy lubią czasem się bać, ale zareczam, że dorosły czytelnik też znajdzie tu dla siebie rozrywkę. Odniesienia do popkultury, intertekstualność i barwny język sprawiają, że opowieść tę czyta się jednym tchem. Choć czasem może go zabraknąć.



JOWITA JAGLA

Średniowieczny Szpital św. Ducha we Fromborku

Nazwa „szpital” pochodzi od słowa *hospitale* utworzonego z łacińskiego wyrazu *hospes* oznaczającego gościa, przybysza. Współcześnie słowo/zjawisko/obiekt, jakim jest szpital wizualizuje w wyobraźni przestrzeń hermetyczną, izolacyjną, sterylną, gdzie uzdrowienie czy raczej wyzdrowienie odbywa się na poziomie porzucenia tego, co osobiste, prywatne, intymne. To NIEGOŚCINNE miejsce „osobności” duchowej i cielesnej emigracji, która przerywa ciąg zdarzeń codziennych, czułych, znanych, rytualnych, a przenosi człowieka w przestrzeń pozornie tylko przyjazną, bo niebezpiecznie nieznaną. Szpital współczesny jest także miejscem, w którym spotykają się ludzie różnych profesji i społecznych hierarchii, tak więc na pewnej płaszczyźnie daje (często złudne) poczucie zrównania wszystkich wobec choroby czy śmierci. Czy dzisiejszy szpital czerpie z idei szpitali średniowiecznych? Czy stanowi ich wyrazistą ewolucję? Czy poświadcza proces szeroko pojętego rozwoju wiedzy, relacji międzyludzkich, kulturowego postrzegania ciała?

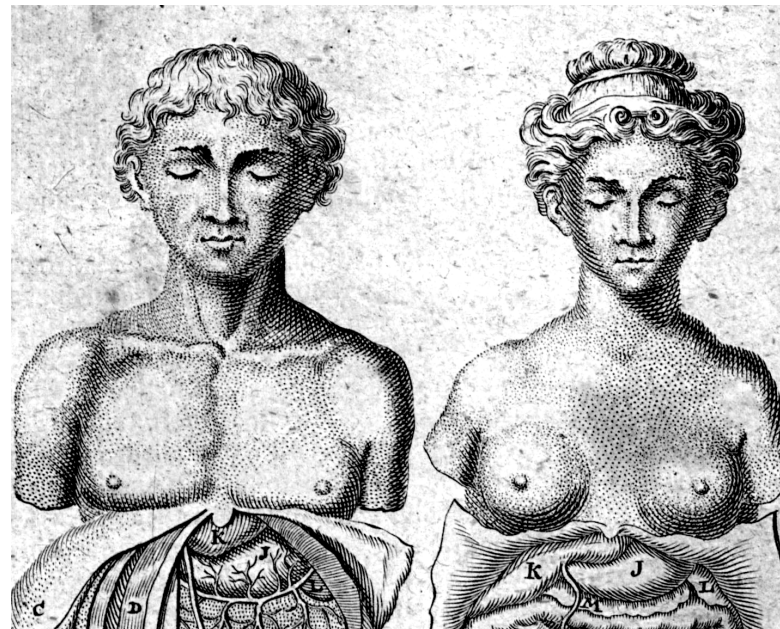
Tak postawione pytania nie dają jednoznacznych odpowiedzi. W średniowieczu wykształtowało się kilka podstawowych typów szpitali, m.in. leprozoria (przeznaczone wyłącznie dla trędowatych), infirmerie (szpitale klasztorne) czy szpitale-przytułki dla ubogich fundowane przez władze miast i wspólnoty duchowne.

Szpital św. Ducha we Fromborku – najwyższej klasy XV-wieczny zabytek architektury i dziedzictwa kulturowego – należy właśnie do trzeciego typu szpitali. Życie, które się tutaj toczyło, było życiem osób wykluczonych (niepełnych starców, żebraków, samotnych kobiet, sierot, podrzutków), wyrwanych ze społeczeństwa mniej lub bardziej symboliczną banicją. Nędza, której doznawali, przeobrażała się w tym miejscu paradoksalnie w „nędzę szczęśliwą”, gdyż z jednej strony umożliwiała fundatorom spektakularny gest miłosierdzia, z drugiej pozwalała tymże fundatorom/dobroczyncom/darczyńcom osiągnąć życie wieczne, m.in. dzięki modlitwom za dusze tychże (modlitwy te stanowiły istotny składnik regulaminów przeznaczonych dla pensjonariuszy szpitali). Szpital był więc miejscem życia, spożywania posiłków, snu i gorliwej modlitwy, miejscem dojmującego poczucia takiej, a nie innej hierarchii społecznej, utkanej w boskim planie. Był miejscem akceptowalnej zgody na boski plan...

Szpital-przytułki umieszczano na obrzeżach miast nie tylko dlatego, by miały wystarczającą przestrzeń do utworzenia ogrodu ziołowego, warzywnego, sadu i cmentarza. Oddalenie wskazywało jednoznacznie na epidemiczny charakter pojmowania biedy, nędzy i fizycznej odmienności. Stanowiła ona symboliczny, zainfekowany „zarazą wykluczenia” kontrpunkt dla pozostałej, „zdrowej” tkanki miasta.

Obecnie we fromborskim Szpitalu św. Ducha mieści się Dział Historii Medycyny Muzeum Mikołaja Kopernika we Fromborku. W poszanowaniu historii miejsca i ludzi, którzy spędzili w nim większość życia, wobec przynależnej i ciągle odczuwalnej aury

tajemnicy wnętrza, prezentowane są tu artefakty i muzealia ikonograficznie nawiązujące do historii ortopedii, anatomii, chirurgii, położnictwa i aptekarstwa. Z kolei wystawy czasowe odnoszą się do tematów fundamentalnych, takich jak ciało człowieka/ciało sakralne/ciało chore, uzdrowienie-wyzdrowienie, teatry anatomiczne, ikonografia anatomiczna, śmierć, rytuały pogrzebowe itp. Całość muzealnej scenografii przenosi widza w strefę inscenizowanej kamery, tworzącej i przetwarzającej zastaną rzeczywistość w teatralną panoramę, czemu służą zgromadzone naturalia, spreparowane zwierzęta, preparaty anatomiczne, zasuszone rośliny, korzenie, nasiona. Mikrokosmos przenika się zatem z makrokosmosem, przypominając znaną od starożytności wiarę w naturalny rytm świata, w którym kosmos staje się zwierciadłem dla człowieka i innych bytów ziemskich. Taki właśnie sposób eksponowania obiektów i typ gromadzonych przedmiotów w pewnym sensie stanowi akt zbawczy, akt nie tyle zacierania/zastaniania historii samego Szpitala, co oglądania jej w innym świetle – na tle krajobrazu tego, co dzisiaj postrzegamy jako ewolucję – nie rewolucję – zarówno instytucji szpitala, jak i samej medycyny. Ów akt zbawczy nade wszystko ma za zadanie stłumić wspomnianą epidemiczność miejsca, kontekst „zarazowej” historii żebractwa, nędzy, bezdomności i samotności. Samotności tych, dla których „zarazowy” szpital nie stanowił miejsca odosobnienia, ale pełnił funkcję domu – jednej sfery oswojonej i bezpiecznej, ochraniającej przed prawdziwą zarazą obojętności, agresji i odrzucenia.



Sekretnie wewnątrz kobiety i mężczyzny, Johann Adam Kulmus, *Anatomische Tabellen...*, Leipzig 1759 r., jeden ze starodruków anatomicznych Muzeum Mikołaja Kopernika prezentowany w Szpitalu św. Ducha.

JERZY ŁAPO

Archeolog na tropach znachora

18 listopada 2011 roku był kolejnym dniem badań archeologicznych w dziewiętnastowiecznej części dawnego cmentarza komunalnego w Giżycku¹. Było chłodno, ale nie padało. Do eksploracji wybraliśmy kolejne pochówki, którym przypadły numery od 331 do 336. Praca polegała na odstonięciu poszczególnych szkieletów wraz ze śladami trumien oraz jam grobowych. Każdy z grobów był dokumentowany fotograficznie oraz rysunkowo. Obrysy poszczególnych pochówków widoczne były już w warstwach stropowych obiektów (grobów), więc wstępnie wiedzieliśmy, czy będziemy mieli do czynienia z dorosłym czy dzieckiem. Obiekt nr 335 zaczął eksplorować Bogdan Zdanowicz. Zapowiadało się na pochówek dziecięcy...

Po jakimś czasie Bogdan zwrócił mi uwagę, że przy dziecięcej czaszce znajduje się jakiś dziwny przedmiot. Mały, okrągły, z pozoru przypominający duży guzik. Ale z drewnkiem pośrodku? Okazało się wkrótce, że to mała buteleczka! Starając się nie wzbudzać sensacji, zwłaszcza wśród robotników, dokończyliśmy eksplorację i dokumentację pochówku, po czym wyjęliśmy nietypowe jak na cmentarz znalezisko. Sądząc po formie oraz cechach technologicznych, buteleczkę wykonano w pierwszej połowie XIX wieku. Podobnie datowana była część nekropolii, w której dokonano odkrycia. Monety znajdujące w sąsiednich grobach pochodziły z emisji z lat 1821-1851².

„Może jest pełna?!” – narzucające się pytanie okazało się całkiem sensowne. Zakorkowana buteleczka o objętości około 100 ml wypełniona była do około 5/6 objętości jakąś przezroczystą cieczą z osadem na dnie.

Naczynie wraz z zawartością trafiło do Narodowego Instytutu Leków. Tutaj prof. Zbigniew Fijałek powołał interdyscyplinarny zespół, który zbadał zawartość³. Okazało się, że najprawdopodobniej pierwotnie w buteleczce znajdował się wodny napar na bazie roślin. We wnętrzu odkryto także pojedyncze włosy, a nawet pajęczaki. Składem chemicznym ciecz przypominała niezbyt czystą wodę z bakteriami występującymi m.in. w ściekach.

Jak więc interpretować odkrycie z grobu nr 335 z dawnego Giżycka, w którym,

zgodnie z wynikami analizy antropologicznej przeprowadzonej przez Leszka Słowickiego, spoczęły szczątki 4–5-letniego dziecka⁴? Buteleczka została intencjonalnie ustawiona przy głowie zmarłego najpewniej już na cmentarzu – zgodnie z mazurską tradycją trumnę otwierano ostatni raz po przyniesieniu na miejsce ostatecznego spoczynku i poprawiano ułożenie ciała oraz ubioru nieboszczyka. Czy w naczyniu znajdował się „lek”, który miał uzdrowić dziecko? Jeśli tak, to kto go sporządził – znachor? Czy zrozpaczona rodzina kupiła lekarstwo jednak za późno? Czy było ono w ogóle skuteczne? Czy żal po dziecku był tak wielki, że rodzice zdecydowali się na irracjonalne włożenie leku do grobu zmarłego? Pytania można mnożyć.

Dobłą ilustracją obserwacji wynikających z odkryć archeologicznych dokonanych na cmentarzu w Giżycku są fragmenty mazurskiej powieści Siegfrieda Lenza *Muzeum ziemi ojczystej*, dotyczące czasów sprzed i już z początku I wojny światowej. Trzeba jednak pamiętać, że to literatura i nie sposób określić na ile odzwierciedlała ona rzeczywiste wydarzenia, a na ile była owocem fantazji autora. Jan Rogalla, ojciec głównego bohatera powieści, „oferował krople, które rozmieszane w kapuśniaku w krótkim czasie zwiększały bojaźń Bożą, ponadto maść przeciw cięciom kozackich szabel”⁵. „Już za dwudziestopięciofenigówkę zwalczaliśmy próchnicę zębów [relacjonował Rogalla junior – przyp. Jł], chorych na padaczkę wspieraliśmy za dwie marki, gorączkujących z powodu febrę uwalnialiśmy od gorączki za markę siedemdziesiąt, za dwie i pół marki umożliwialiśmy sparaliżowanym ostrożny ruch, już za talara ktoś mógł pozbyć się choroby św. Wita”⁶. Największym jednak autorskim wynalazkiem, stanowiącym „clou nadzwyczajnej oferty” był „ziamisty specyfik, pachnący amoniakiem, w razie potrzeby czyniący przemytnika niewidzialnym”⁷. Cudowne wręcz leki kryły się w próbkach, buteleczkach, puszkach, słoikach etc.⁸

Czy Lenzowski Jan Rogalla wierzył w skuteczność swoich leków? Z jednej strony odgrywał kuglarski spektakl ze zmiąją Ellą, której pozwalał ukąsić się w rękę, a zaraz potem zażywał syropu, który wybawiał go od śmiertelnego zatrucia. Specyfik

1. J. Łapo, *Pradzieje okolic Giżycka*, w: *Giżycko. Miasto i ludzie*, red. G. Białuński, Giżycko 2012, s. 39-40.

2. J. Łapo, *Spokojnie jak na cmentarzu. Nowożytne cmentarze w Giżycku i Węgorzewie*, w: *Zjawiska magiczno-demoniczne na terenie dawnych ziem pruskich na tle porównawczym*, red. K. Grażawski, J. Gancewski, Olsztyn 2014, s. 159-176.

3. J. Łapo, *Od doktora do znachora. O medycynie i podejściu do zdrowia dziewiętnastowiecznych mieszkańców Mazur w świetle badań wykopaliskowych dawnego cmentarza komunalnego w Giżycku*, w: *Życie codzienne na dawnych ziemiach*

pruskich. O zdrowiu i chorobie, red. J. Kielbik, Olsztyn 2014, s. 144-148.

4. Brak ozdób na głowie zmarłego może sugerować, że był to chłopczyk.

5. S. Lenz, *Muzeum ziemi ojczystej*, przekł. E. Borg, M. Przybyłowska, Olsztyn 2010, s. 24.

6. Tamże, s. 26.

7. Tamże, s. 24.



Fot. Jerzy Łapo

ten mógł nabyć każdy za trzy marki i dwadzieścia pięć fenigów. Sęk w tym, że gad nie miał już śmiertelnego jadu⁸. Z drugiej strony Rogalla zaofiarował żołnierzom rosyjskim, którzy wkroczyli do Prus Wschodnich w 1914 roku, całą gamę swoich produktów wraz z „tanim tonikiem przeciwko brakowi odwagi na polu bitwy”¹⁰. Czy ryzykowałby życiem tylko dla zysku, nie będąc przekonany o skuteczności swoich specyfików?

O medycynie Mazur pierwszej połowy XIX stulecia nie można sądzić jedynie przez pryzmat znaleziska domniemanego znachorskiego specyliku¹¹. Obserwacje dokonane na cmentarzu w Giżycku wykazały, że o ile dziecko przeżyło pierwsze lata, miało szansę dożyć sędziwego wieku. Najpowszechniejszym schorzeniem była próchnica. W tej sytuacji najskuteczniejszym lekarstwem

było... wyrwanie bolących zębów. Niektórym u schyłku życia pozostawało ich już tylko kilka. Ubytki w uzębieniu miało 90% dorosłych z dziewiętnastowiecznego Giżycka! Antropolog stwierdził również przypadki paradontozy, hipoplazji, częste było występowanie kamienia nazębnego. Wcale nierzadkie były zwyrodnienia kręgosłupa oraz innych kości. Problemem były także stany zapalne i ich konsekwencje, których ślady „odcisnęły” się na szkieletach. Zaskakująco niewiele było przypadków ciężkich urazów mechanicznych. Bardzo ciekawych odkryć dokonano w grobach dwóch dorosłych mężczyzn (nr 24 i 107). Po ich śmierci dokonano sekcji zwłok, podczas których odcięto im kaloty czaszek, a medyk, najprawdopodobniej fizyk miejski, zbadał ich mózgi. Tak tworzyła się współczesna medycyna, także na Mazurach!

8. Tamże, s. 23, 98.

9. Tamże, s. 24-26.

10. Tamże, s. 96-99.

11. Por. J. Łapo, *Od doktora do znachora*, s. 139-148.

JERZY ŁAPO – doktor nauk humanistycznych w zakresie historii, archeolog, etnograf, kulturoznawca, badacz dziejów Mazur, pracownik Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie.

KATARZYNA KACZMAREK

O przykładowych sposobach uzdrawiania

Pewnego razu odwiedziłam madryckie Muzeum Prado. W którymś momencie znalazłam się w sali, gdzie na obrazach mleko, strzelając z piersi Matki Boskiej, ostrym strumieniem trafiało wprost do ust nadstawionych przez jakiegoś zakonnika. Nie wolno było robić zdjęć, ale temat był dla mnie nowy, więc postanowiłam zgłębić go później.

Wizerunki karmiącej Madonny są znane i popularne od dawna. We współczesnych dyskusjach przywołuje się je choćby wtedy, gdy mowa jest o karmieniu piersią w publicznych miejscach, w czym nie ma przecież niczego kontrowersyjnego. Jesteśmy ssakami i naturalne jest to, że dziecko ssi pierś matki. Ale co na obrazie robi starszy facet? Myślenie oparte na stereotypach zaczyna szaleć. Zdrożne marzenia? Czy totalne dzieciennienie?

Bardzo byłam ciekawa głębszej idei, która chyba jednak musiała stać za tym tematem. Obraz, o którym mowa, namalował Alonso Cano w latach 1657-1660. Jest duży, ma 267 na 185 cm. Przedstawiony na nim św. Bernard żył w XII wieku i należał do zakonu cystersów. Jako wielce pobożny zakonnik wymodlił sobie, jak niektóre legendy podają, okazanie macierzyńskiej miłości przez Matkę Bożą, inne jednak twierdzą, że uzdrowienie infekcji oczu lub ust. W znaczeniu symbolicznym ten znak miłości matki miał obdarzyć go mądrością i jasnowidzeniem. Wyleczenie infekcji mogło być przenośnią „przejrzenia na oczy”. Miało to też być oznaką szczególnej ochrony, którą Matka Boża otoczyła cystersa. To nie kto inny a Bernard był przewodnikiem w *Boskiej Komedii* Dantego. Wędrowkę po niebie rozpoczyna od modlitwy do Maryi, a w każdej ze sfer Raju autor zawarł opis jednej z jej cnót. W każdym razie temat ten na obrazach przetrwał tylko/aż do początku baroku. Potem został uznany za niewłaściwy i wcale się nie dziwię, bo mógł budzić kontrowersje. Mimo wszystko zdążyło powstać kilka malarskich wersji tej wizji. A sam cud laktacji przydał się także, by pozbawić wyuzdanych wizji pewnego diakona męczonego erotycznymi snami. Podanie pochodzi z czasów średniowiecznych i głosi, że gdy młodzieńcowi przyśniło się w nocy, że Matka Boska dała mu napić się mleka z jej piersi, wzmocnił swe siły, by wytrwać w czystości i oprzeć się pokusom.

Innym przykładem empatycznej wizji jest Chrystus z Isenheim. Został namalowany w latach 1506-1515. Twórcą gotycko-renesansowego retabulum ołtarzowego jest Matthias Grunewald. To najbardziej makabryczny wizerunek Chrystusa, jaki widziałam. Umęczone ciało na krzyżu jest całe poranione. Pierwsze rany zostały

zadane mu w Ogrodzie Oliwnym, następnie był biczowany, potem koronowany cierniem i udreńczony niesieniem ciężkiego krzyża. Ostatecznie został zamęczony na Golgocie.

Ciało Jezusa, jak przedstawia je Grunewald, pokryte jest wieloma wbitymi kolcami, ranami i skrzepami. Chrystus ukazany jest w momencie agonii. Dramatycznie wygięte, konwulsyjnie rozczapierzone ręce i bezgraniczne cierpienie na twarzy uzmystawiają tę niewysłowioną mękę, którą Syn Boży przeszedł, by odkupić człowieka. Czy było warto? Dramat śmierci męczeńskiej jest jeszcze bardziej dojmujący na tle przedstawienia postaci towarzyszących. Jan Ewangelista w pięknej, prawie monumentalnej scenie, podtrzymuje ciało Marii omdlewającej na widok umęczenia Syna. U ich stóp klęczy, współcierpiąc, Maria Magdalena. Po drugiej stronie krzyża Jan Chrzyciel trzyma otwartą księgę, wskazując Jezusa, a niżej Baranek Boży, z którego boku wypływa krew. To nawiązanie do ofiary złożonej Bogu podczas Paschy. Język plastyczny tej części poliptyku jest bardzo wyrazisty. Kontrast ciemnego tła z jasną szatą Marii i jej piękną postacią sprawia, że Chrystus niezwykle silnie działa makabrą cierpienia.

Skąd wzięta się tak dramatyczna wizja artysty? Niemiecki artysta, będący równieśnikiem Dürera, odznaczał się dużymi umiejętnościami w wyrażaniu ekspresji. Jego najśtywniejsze dzieło to poliptyk wykonany do kaplicy zgromadzenia antonianów w Isenheim. Zakonnicy tego klasztoru zajmowali się niesieniem pomocy ludziom dotkniętym strasliwym cierpieniem, jakiego doznawali zatruci sporyszem. Chorzy mieli gangrenę, odpadały im palce, cierpieli strasliwy ból, ogarniało ich szaleństwo i tracili zmysły. Jedynym sposobem leczenia była modlitwa przed ołtarzem. Udreńczony Chrystus miał być empatycznym przedstawieniem, by ulżyć mękom biedaków. Pewnie mało skuteczne było to lekarstwo, ale innego nie znano.

Na nic starania ludzkie, śmierć i tak odnosiła ostateczne zwycięstwo. Jak wielkie, można zobaczyć na obrazie Petera Bruegla z 1562 roku zatytułowanym *Triumf śmierci*. Bez względu na ludzkie starania, prowadzone spory i wytaczane wojny, to ona zwycięża. Ludzi, co jakiś czas, ogarnia szaleństwo zabijania, a ona zbiera swoje żniwo. Bez względu na walkę z przeznaczeniem lub biernemu się mu poddaniu, koniec i tak nadchodzi. Nie chroni przed nim żaden status społeczny. Poczieszeniem może być tylko wizja nieba, a te występuje na wielu obrazach, bo pociecha jest potrzebna, by trwać.

ANNA RAU

Mural przy ul. Linki w Olsztynie

Był środek nocy. Przemco otworzył oczy, nagle i bezzasadnie całkowicie obudzony. Przez chwilę nie wiedział, o co chodzi, ale po chwili zobaczył. Nad jego twarzą pochylał się ogromny, włochaty szczur. Gryzoń przyglądał mu się bystro czarnymi koralikami oczu, nieznacznie poruszając wąsikami, a jego szare futerko lekko opalizowało w mroku. Przemca ścisnęło w dotyku.

– Obudziliście się – stwierdził krótko szczur. – To dobrze. Potrzebuję cię.

Przemco zamrugnął i upewniwszy się, że koszmar jest jawą, zapytał słabo:

– Do czego? Do czego mnie potrzebujesz?

Szczur z widocznym uznaniem dla rozgarnięcia chłopaka pokiwał łebkiem i zaczął opowiadać:

– Człowieku, jest problem. Duży problem. Jaśnie Pan Skażenie nagle dostał anginy ropnej i musi leżeć w łóżku. Po prostu totalnie go rozłożyło! Lord Wojna ma jakąś nagłą partanię w Afryce. Lord Głód jest zarobiony gdzieś na Wschodzie, a Lord Śmierć – wiadomo – stale w biegu, do chomika, do gołębia, do człowieka, i tak w kółko. Nie rozerwie się. Jednym słowem jest potrzeba, nie ma kto skazać, zatruć i zanieczyścić, a robota sama się nie robi! Jakiś wyciek, jakieś nieszczęsne dziki... Tak więc Jaśnie Pan wychrypiał mi dzisiaj: „Pikuś, jesteś dobrym i wiernym wierchowcem, a głowę i uszy masz nie od parady. Znajdź no mi kogoś na zastępstwo. Trzy, cztery dni i będę jak nowy. Tylko wybierz człowieka – oni są świetni w zatrutowaniu”. No to zrobiłem mały research, jak wy to mówicie, i jestem.

– Pikuś?... – wyszeptał Przemco.

– Nie podoba się?! – warknął szczur.

– Nie, nie, uroczę imię – wycofał się Przemco, lekko wzdygając. – Kojarzy się z wiernością... Khem, i to ja mam zakazać, zatrutować i zanieczyszczać? Słuchaj, ten twój pan jest jednym z jeźdźców apokalipsy, prawda?

– Tak – potwierdził z dumą szczur. – Mój pan Skażenie dzierży łuk i przez okrąg świata stale

czyni koniec. Tak jak i pozostali trzej lordowie. To jak, Przemco – nagle jakby zaczął się spieszyć – wchodzisz w to i pomożesz wielmożnym panom, czy mam szukać kogoś lepszego? Przemco rozsądnie zaczął czynić starania, żeby lekko uspokoić oddech i złapać jakąś przytomną myśl, zaś szczur w tym czasie bezsprzecznie czymś rozproszony zaczął węszyc. Po chwili zeskoczył z łóżka i stanął słupka przy nocnym stoliku, na którym leżała dość niehigieniczna reszka potajemnej nocnej przekąski Przemca.

– Oj, oj – zatarł łapki – jakie tu pyszności. – Pozwolisz... – i nie czekając na odpowiedź wpakował sobie do mordki pół obgryzionego brązowego banana oraz ćwiartkę tłustego batona z karmelem i orzeszkami. – Nic nie jadłem od wyjścia z domu.

– Na zdrowie – powiedział automatycznie Przemco i zaczął kalkulować korzyści z propozycji. Jutro miał jechać do babci do Wozławek, w końcu zaczynał się ostatni tydzień wakacji. U babci są małe kotki i przyjemny ogródek z hamakiem do spokojnej gry na telefonie, ale z kolei TAKA szansa może się już nigdy nie zdarzyć. Jazda na szczurze! No i mama się wścieknie, czyli sukces jak diabli. – Jadę! – powiedział i odrzucił kotdrebę.

– Bravo! – wybełkotał szczur lekko zakneblowany karmelem. – Bierz swój plecak, tylko otwórz mu kłapę, wsiadaj na mnie i lecimy!

– Jeździec miał łuk – zasugerował Przemco, pakując ukradkiem pluszowego królika.

– Zapomnij! – parsknął szczur. – Łuk Wielmożnego Pana w obcych rękach zrobiłby totalny koniec, a na to jeszcze czas...

– Coś puka w szybę – przerwał mu Przemco, mocując na ramionach szelki plecaka.

– To Kawka jako niezależny obserwator od strony zwierzęcej, w końcu jesteś na zastępstwo. Krótko mówiąc, Kawka jedzie z nami.

– Mnie to pasuje.

– To zatruwamy!

I ruszyli zatrutować.



WALDEMAR TYCHEK

Stań przy magnolii i spójrz na różanecznik

Czy muzyka to tylko fale akustyczne o określonych amplitudach i cisza pomiędzy nimi? A może to zachwyt nad ciszą, która gra i odwzorowuje harmonię wszechświata? Jest pewien rodzaj muzyki, którą można usłyszeć tylko wtedy, kiedy się w niej uczestniczy, kiedy się ją wykonuje lub śpiewa. To chorał lub... las. To, że las śpiewa, wiedzieli już i Schuman, i Beethoven. Pierwszy kiedy komponował *Sceny leśne*, a drugi symfonię *Pastoralną*.

Kiedy w latach osiemdziesiątych silne wiatry przetrzebiły w Nadleśnictwie Kudypy stary drzewostan służący do pozyskiwania nasion świerkowych, na terenie położonym przy drodze nr 16 w kierunku Ostródy, tuż za rogatkami Olsztyna, powstało, pomimo zniszczeń, urokliwe miejsce zapraszające do zagospodarowania. Decyzja o powstaniu arboretum, czyli miejsca, gdzie gromadzi się unikatowe kolekcje drzew, krzewów i innych roślin¹, została podjęta w 1989 r., natomiast samą koncepcję utworzenia ogrodu dendrologicznego opracował w 1991 r. prof. Jerzy Tumiłowicz. Z założenia jego struktura oparta się na dwóch działach: *Flora Polska* i *Kolekcja drzew i krzewów obcego pochodzenia*. Powstała zatem konieczność przygotowania terenu na posadzenie nowych gatunków, które naturalnie nie występowały w naszych lasach. Z założenia arboreta miały też pełnić rolę banków nasion unikatowych populacji i szczególnie cennych gatunków, aby móc je wykorzystać w przypadku degradacji lub zniszczeń w wyniku klęsk żywiołowych.

W następnym roku posadzono już pierwsze drzewa z sadzonek sprowadzonych z innych, działających wcześniej ogrodów. Teren arboretum ogrodzono i wyznaczono alejki. W kolejnych latach pojawiają się wiaty i ławeczki, wykorzystuje się zróżnicowaną rzeźbę terenu, eksponuje naturalne oczka wodne i buduje specjalną kładkę umożliwiającą przejście przez torfowisko. W arboretum rośnie ponad 300 gatunków rodzimych odmian drzew i krzewów

oraz 700 z sadzonek sprowadzonych tu z całego świata.

W 2004 r. powierzchnia arboretum wynosi już ponad 15 ha. Dzięki staraniom Witolda Szumarskiego Minister Środowiska podnosi znaczenie kudypskiego arboretum i od 2005 r. nadaje mu rangę ogrodu botanicznego. Powstają ścieżki edukacyjne, trasa biegową oraz cała infrastruktura turystyczna wybudowana w ramach projektu „Aktywne Udostępnianie Lasu”.

W 2012 r. oddano do użytku budynek edukacyjny wyposażony w nowoczesne technologie, a tuż obok powstaje lapidarium – okazała kolekcja kamieni i głazów polodowcowych. Obecnie podstawowy obszar arboretum tworzą:

- kolekcje odmian drzew i krzewów z różnych części świata (także z terenów górskich). Tu możemy podziwiać zbiory klonów, irg, jałowców, świerków, jodeł, kalin, suchodrzewów i innych gatunków;
- okazy flory polskiej, a w tym wiele rzadkich i objętych ochroną gatunkową odmian rodzimych (m.in. sasanki i grzybienie);
- fragmenty lasu naturalnego m.in. z okazałymi pomnikami przyrody.

Arboretum wciąż się rozrasta. Tworzy się kolejne aranżacje – zakątki tematyczne i miejsca do relaksu, gdzie czekają na gości drewniane leżaki i rozwieszzone pomiędzy drzewami hamaki.

Symfonia nieustannie trwa, a gdy na początku kwietnia w małym, moczarowym rozlewisku pojawiają się niebieskie żaby, to znak, że znów nadszedł czas na dłuższe odwiedziny. Stań wówczas przy rozpachnionej magnolii i spójrz na różanecznik.

1. Arboretum (z łac. *arbor* znaczy drzewo) jest specjalnie wydzielonym obszarem dla celów turystycznych i popularyzatorskich. W arboretach bada się również możliwości upraw egzotycznych roślin, tworzy ich krzyżówki i odmiany.

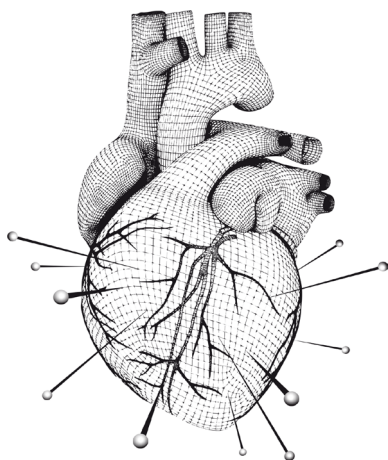


KATARZYNA GUZEWICZ

Czy czeka nas zagłada?

Prawdopodobnie w ciągu najbliższych stu lat wymrą pszczoły, ćmy i motyle. Ich zniknięcie pociągnie za sobą nieodwracalne zmiany – będzie mniej ptaków, a z czasem z powierzchni ziemi zaczną znikać rośliny, bo nie będzie komu ich zapylać. W wersji pesymistycznej nasza planeta stanie się niedługo pustynią, a my będziemy walczyć o przetrwanie i dusić się z gorąca. Za kilkadziesiąt lat w oceanach będzie więcej śmieci niż stworzeń morskich, już dziś gigantyczne wysypisko na Oceanie Spokojnym zajmuje więcej niż pięciokrotna powierzchnia Polski. Kultura popularna lubi takie apokaliptyczne wizje: *Księga umarłych*, ostatni sezon *American Horror Story*, czy film *2012*. Co do tej pory wydawało się jedynie fantazją, jest niestety coraz bardziej prawdopodobne, wbrew „śmieszkowaniu” niektórych publicystów. To, że poseł partii rządzącej zmarł na werandzie, nie oznacza, że globalne ocieplenie jest wytworem lewackiej wyobraźni. Zresztą, notoryczne (celowe czy przypadkowe?) mylenie klimatu z pogodą chyba nikogo nie dziwi, zwłaszcza kiedy chce się udowodnić swoje racje. Katastroficzne wizje to nie wymysł współczesnej kultury, Kasprowicz pisał już w *Dies Irae*, że „trąba dziwny dźwięk rozsiej, ogień skrzepnie, blask ściemnieje, w proch powrócą światów dzieje”. Można załamywać ręce, ale można również uznać naszą współodpowiedzialność za to, co się dzieje z naszą planetą. Jan Kasprowicz żył na przełomie XIX i XX wieku, więc pewnie więcej rozmyślał o wieczności niż o śmieceniu i bezsensownym konsumpcjonizmie. Dla nas jednak proponowałabym przyjąć proporcje odwrotne. To w świecie idei. A w rzeczywistości? Kupujemy tanie ubrania w sieciówkach, a te stają się brzydkie po kilku praniach, więc je wyrzucamy. Nabywamy masę taniego jedzenia, które zalega i psuje

się w lodówce. Wśród tego jest mięso i nabiał, co smuci mnie szczególnie, bo oprócz pospolitego marnowania w grę wchodzi też bezsensowne cierpienie zwierząt. Kosmetyki, jedzenie, chemia są pakowane w kilka rodzajów kolorowego plastiku, a przynosimy je do domu w siatkach z folii, które zwykliśmy nazywać „jednorazówkami”. Naprawianie rzeczy stało się fanaberią, dziwactwem, hobby. Produkty celowo są tak wytworzone, żeby miały określoną żywotność, a ich reperacja była nieopłacalna. Obawiam się, że działania podjęte teraz mogą tylko opóźnić katastrofę, ale nie ma też co uderzać w tak pesymistyczne tony. Za to warto robić dobre rzeczy: jeść mniej mięsa, działać na drutach swetry dla siebie i psa, nie pakować bananów w folię (przecież i tak mają skórki!). A może w ogóle zaopatrzyć się w swoje woreczki z materiału? Przy osiedlowych śmietnikach powieszono informacje o zwielokrotnionych opłatach za notoryczne uchylanie się od segregowania odpadów. Pewnie powinnam się zmartwić, bo może to uderzyć we mnie... A jednak cieszę się, bo widzę jak wiele osób to mobilizuje do sortowania swoich śmieci! Ekologiczne życie to nie przynoszenie warzyw w plastiku i przerzucanie ich do jutowego worka, żeby ładnie wyglądały na instagramowym zdjęciu. To styl życia, inne priorytety, odmawianie sobie niepotrzebnych przedmiotów. To przekonanie, że nie jesteśmy pępkami świata i że czasem warto odrzucić własny egoizm. Nasi rodzice i dziadkowie pojmowali rozwój jako ujarzmianie przyrody, dymiące kominy fabryk i betonowanie otoczenia. Mam nadzieję, że my zrozumiemy, że jest na odwrót, a prawdziwy rozwój tkwi w drzewach i niekoszonych łąkach, które m.in. obniżają temperaturę otoczenia. Jeśli nie dla siebie, zróbmy to dla tych, którzy przyjdą po nas.



UTILITARIAN HEART/2018, Katarzyna Łyszkowska

NA TYLNEJ OKŁADCE:

KATARZYNA ŁYSZKOWSKA w swoich pracach sięga do osobistych doświadczeń, indywidualnych biografii i uniwersalnych opowieści. Zarówno narzędziem, jak i tworzywem jest dla niej papier – materiał delikatny, naturalny, ulegający całościowej degradacji. Symboliczne zastosowanie papieru daje artystce możliwość stworzenia opowieści o ulotności zjawisk i stanów natury ludzkiej.

UTILITARIAN HEART/2018 (papierowe serce)

Art-rebus odnoszący się do ludzkiej ulotności, gdzie serce porównuje do użytkowego igielnika krawieckiego. Rebus ten z jednej strony obrazuje przedmiotowy sposób, w jaki my traktujemy innych, z drugiej strony nieumiejętność stawiania własnych granic prowadzącą do frustracji.

